

INWOKACJA

Czarny śnieg spada na miasto. W ten sposób można osiągnąć każdy stan . I m a g i n u j ą c.

Tak jak każdy Człowiek oddala mnie I zbliża mnie. I każda myśl. Im bardziej się to wszystko imaginuje tym bardziej jest się spóźnionym. Nie spóźnionym. *Czas tam nie istnieje. Przynajmniej to jest pewne.* Więc oddalonym. *Oko jest słońcem. Wschodzi i zachodzi przez cały dzień.* Dzień dobry. To I tamto. Dobranoc. Dobry. I Zły. Matka I Ojciec. Dawać I Odbierać. Co tylko pomyślę, myślę pomiędzy dwiema. Dwiema, krzyżującymi się w nieskończoności liniami. Podchodzę do Syna Człowieczego. Rozpięty na dwóch krzyżujących się liniach ratuje to co Człowiekiem I jedno tylko życie Złodzieja. W niebezpieczeństwie się ratuje. I nie ratuje się straconego bezpowrotnie. Syn Człowieczy pomiędzy uratowanym I straconym. Trzy krzyże w jednym miejscu I czasie. Na jednym oparte horyzoncie. Pamiętać trzeba o tym. Dwanaście stacji, dwanaście pór dnia przemierzanych drobnymi krokami. Do taksówki jak do guano chodzi się po to samo. Zapisać, to jest zapamiętać, przy czym pamiętać też w nawias brane inne wątpliwości imaginowanego, co jest znaczeniem wiary. Wiem Boga, wiem Go, nie marzę. I wyznanie wiary - wiem to, nie marzę: od Boga do Boga nasza droga, rodzina dobra, święte znaczy ziło złego I dobrego. Stracony na zawsze, na zawsze uratowany. Każdy może nim być.

*"To jest strachu I szczęścia krzyż
To jest strachu I szczęścia krzyż
W cztery strony światodwiedź
Powołańcu powołany
Powołany do wszystkiego
I wszystko lustrem wszystkiego"*

Pozdrawiam Cię, zdrowaś Mario, kobieto łaskiś pełna, Bóg w Tobie, Pan z Tobą, Matek Matko, błogosławionaś Ty między niewiastami, Jezusa Matko, Błogosławion On, Człowiek z Marii, Owoc żywota Twego, Jezus od Boga, Święta Mario, do Boga nasza droga, Matko módl się za nami grzesznymi, teraz na ziemi I w godzinę śmierci Matce naszej umieramy I żyjemy. Amen.

ROZDZIAŁ I

Wylot z tunelu już bliski. Tam gdzie światła początki obce napisy na bramie. Słowa latino, słowa hebrajskie, zapamiętano też germańskie. Przeczucie, że można to zrozumieć. A po chwili wiem, że to przeczuję, zagęszcza się przestrzeń. Dwie splecione materie - wolność tworzenia gramatyki i komunikacja jedynie serdeczna, znaczy z serca do serca. Gramatyka, w zasadzie wszystko co z guana dziś jest, jutro tego nie ma. Inaczej świadomość, ta zostaje. Oto po dziś dzień wzdraga się ręka uwiarygadniać materialnymi dowodami sztukę. Zawsze się stwarzać - można pomyśleć - w najmniejszych podziałach kwarkowych, jeden twórczy akt, poklatkowy zapis, a klatek na pewno dwadzieścia pięć na sekundę; miary cywilizacji guana. Katalog stwarzania, inaczej mówiąc archiwum możliwości - ci z guana, ci z miodu, ci z soli. Oto dlaczego po dziś dzień wzdraga się ręka uwiarygadniać materialnymi dowodami a r t e .

Nie pisać wszystkiego, co przyjdzie do głowy. Nie pisać *"sumienie twardy dysk świadomości"* (uczyć się pisać i nie chodzić po kawę; tu czuć się najbezpieczniejszym). Czy przyjdzie Ten, który utnie głowę smoka? Smok rozumu chce więcej i więcej, więcej niż dwadzieścia pięć ofiar na sekundę, inaczej mówiąc szantaż rozumu w poszukiwaniu materialnych dowodów szczęścia. A Anioł - czy to Ty? - zaśpiewał, zaszemrał, zadrżał: nie masz Ty materialnych dowodów szczęścia, oj! - nie masz! Trędowaty Tobie powód drogi jedyny - samemu stworzyć z dawna wyczekiwany cud, nie pozór lecz cud tworzenia - muzyka, malarstwo, miłość, aż zauważasz tak tworząc na podobieństwo kochającego serca obraz coraz to piękniejszy dźwięków maszyny do pisania, instrumentu, czegoś na kształt wibrafonu, to ona przy ostrym uderzeniu w klawiaturę wydaje cudowne, niesłyszalne dla ucha dźwięki ludzkiej wibracji. I zdziwienie, że jesteś czymś więcej niż być, bijng, *dwanaście małych piesków pije mleko transgeniczne z guana*. Otrzymałeś wolność tworzenia sytuacji, mogli nas przecież wprząść w coś znacznie gorszego niż perpetum mobile. I w takiej formie bytu załęgnać może i powinna się sztuka (nie zawsze jednak dobre myśli wynikają ze złych uczynków). Wspomnij, proszę, klaustrofobię tej sytuacji, klaustrofobię przeświadczenia, że z własnej woli włązło się do labiryntu zamiast iść do godniejszego celu, gdy się uwierzyło, że trzeba nam guana w postaci maszyn i rozrywki. I natychmiast się kompletnie pogubiło, zapomniało, zwariowało, kupy czyli guana nic się znowu nie trzyma. A tyle pychy, że się chce dwadzieścia pięć razy na sekundę stwarzać tajemnicę, że jeśli któryś piesek z Człowiekiem zostanie to ten, który ma zostać. I stwarza się cud mimo woli, otwierają się ślepe oczy na światło, bo piesków już jedenaście, odszedł ten, który miał odejść. Otwierają się moje oczy. Widzę wylot.

Bohater jest jeden. Samowystarczalny i wyizolowany. Ukrzyżowani złodzieje, bramy miasta, chóry anielskie to zaledwie tło. Ponadto dziwić się temu nie należy. Szum w twojej głowie, osamotnienie, radość, wszystkie one obrysowują bohatera, uczucia nasze kochane, dzięki nim stajesz się samemu sobie zbiegiem. Reszta jest tłem twojego istnienia, czy chcesz w to wierzyć czy nie, cóż do ciebie bardziej pasuje niż życie, Człowieku? Ty i wszystko co myślisz, mówisz i czynisz. Tak mówi Pan. Z tego sam musisz się rozgrzeszać. Takim cię stwarzam. Pojedyńczym Człowiekiem na ziemi, nie marynarzem, nie istotą wyższego rzędu, geniuszem irracjonalnym lecz piętaszkiem, służą i

nieukiem, leniem, każdym z nas. Nie nazywasz się K. I nazywasz się. Mężczyzna w drodze życia, po raz pierwszy spotkamy cię nago, my nago I ty nago w jednym śnie, który on przyśnił dzisiejszej nocy, zobaczył wszystkich ludzi niczym Sąd Ostateczny, bez wstydu pogrążonych w czekaniu. Stąd właśnie on bohaterem, stworzony a nie zrodzony na podobieństwo Twoje Miłości, obudził się zrazu ziewając - szkoda, że tak wcześnie, w mieście jeszcze nic się nie dzieje. Nagle też zrozumiał kim jest.

- Na nic się zdało matce urodzić duszę mą I ciało, wykarmiła, posłała w świat odzianego I poświęconego, jej wiara w szczególną misję naszego połączanego żywota, to wszystko igraszka zmysłów, oto lecę w przepaść I nikt uniknąć tragicznego końca pomóc mi nie może.

Chciał może by I skończyć tę historię gestem komicznym, lecz kołatanie w drzwi czy raczej kopanie, a ktoś niewątpliwie kopał w drzwi, posłusznie poddało rytmowi dygotu trzewia, kołatanie przeniosło się do środka Człowieka, tak chyba należy to nazwać.

- Nie zapłaciłeś pan rachunków, I... - ten, który mówi nie zważa na obrys ciała nagiego, skrupuły nie dla celnika.

I oskarżony o wolnomyślicielstwo, o krzywoprzysięstwo, o morderstwo. O cokolwiek co mogłoby stać się formalnym powodem represji, pozbawiony honoru I pracy w wynajętym mieszkaniu na ósmym piętrze w centrum słowiańskiego miasta Warszawy, nagi w pół do siódmej rano. Podchodzi do okna, niewiele już widać spoza fasad budowli, skrawek nieba z chmur oswobodzony tańczy I śpiewa, "Alleluja Allelujaaaaaa", to tam ustawiono kamerę wobec czego chwila kontemplacji byłaby także spektaklem, zawieszaniem oczami to nazywasz, ja czuję jak w oczy patrzy mi ten Człowiek nieznany, I rozumiem tego, który jak ja ma ręce, głowę, ramiona, nos I krwawi z lewego policzka, zadrapanie śladami wojownika w me serce głęboko wnika. I chcę go wspomóc, nauczyć, osłonić, przez mostek przeprowadzić, dokądkolwiek potok mu rwie...rozczulony w sen zapadam... psyt...nic więcej dziś od niego usłyszeć nie mogę.

Piękniejszego, szlachetniejszego, radośniejszego ani też lżejszego nad rodzące się uczucie miłości nie ma nic. Patrzy na ciebie Bóg, Geniusz, Poeta, Bohater Narodowy, Wasal I Satrapa. Wszyscy oni śpiewają:

- Ach nie masz, nie masz nic piękniejszego, szlachetniejszego ani lżejszego nad rodzące się uczucie miłości I prawdy. I nawet gdybyś miał już nigdy więcej nie jechać sportowym autem, które tak przecież kochasz, to właśnie dzięki temu rodzącemu się uczuciu miłości nie będzie ci żal widoków czerwonych rozpiętych na łukach łagodnych autostrad, wyswobodzony z siebie powtórzysz - "Ludzie! Kochajcie mnie! "

Taki oto ożywczy promień wlał w duszę swą I przynosząc ciału ocalenie w chwili, gdy tylko pragnął nienawiści, zaledwie ją przywołał. Czy to jego Anioł czy też czysty przypadek sprawiły, że urwany skrawek błękitu czy cjanu stał się wielką metaforą cierpienia. Cierpienie niczym wyładowanie czysto elektryczne, zdało mu się, łączy lustro Ziemi z lustrem Nieba.

- Wypalone słońcem sawanny, czy te są bliżej Pana? Albo też meteory, czy są z orszaku boskiego Apollina?

I myślał o tym by wziąć na siebie jakiś plecak, minimalną choćby ilość rzeczy, najbardziej osobistych, najmniej potrzebnych rabusiom, najtrwalszych myślom lecz jednak I tu ustąpił pod naporem przypadku. Ten plecak co kamienie nosił z gór, ten szal matki z delikatnej utkany nici, wszystko gdzieś ukryte, nieprzystępne, gdzieś się to pochowało, wynikiem czego stał bezradny pośród wyobrażonych przez siebie przedmiotów, a zmysły szczyły:

- To nic ponad politurowy stół, skarpetki, chodnik, telewizor, szklane naczynie, ściany popstrzone fotografiami wczorajszych wakacji, cała twoja Człowieku współczesność I ani milimetra zagubionej nie wiadomo gdzie pamięci, normalne życie normalnego Człowieka pozbawionego honoru. Zaczniże go wreszcie dostrzegać, Człowieka utraconego H o n o r u, niech Człowieka Honor wyrasta ponad własne Człowieka rzeczy, skorupę glonów Ignących do pamięci!

Nie zważając na głosy, przystawszy na formę praktyczną rzeczywiście I szedł chodnikami, gdzieniegdzie ulicami wywołując popłoch kierowców, przeciął zdecydowanym krokiem dwa parki miejskie, lunaparki dla jeźców. Rzeka, woda, Wisła śmierziała błotem I kloaką, nadzieja, że na sklecionej w zaroślach tratwie dotrze do morza całkowicie nie wystarczała by tak się właśnie stało. Ziemia pokryta tu była budowlami. Wszedł, a czuł się bezradny, do brzucha szklanego kolosa. W środku ludzie poświęcając czas swój I bliźnich rozrywce, przyszli stwarzać się za sprawą tego miejsca na nowo.

- Ich obecność traktujemy jako wyraz potrzeby, uświadomionej konieczności rekreacji - mamrotał pod nosem podążając głównym komunikacyjnym ciągiem, mijając sekcje sportów azjatyckich, baseny kąpielowe, gigantyczne żyrandole restauracji zawieszonych u węzłów sklepienia, obserwując kątem oka arytmetyczne ciągi dzieci, samowystarczalnych, pędzących tu czas w swobodnym automatycznym pląsie.

Pierwszy cel ucieczki nie został osiągnięty, wciąż znajdował swe ciało tu, na bulwarze, krążąc czuł oddech chemiczny ludzi I mierzył wzrokiem ich sylwetki w pierwszym planie oparte plecami na spienionych odchodach miasta. Gnijąca maź I tęczowa piana pokrywały taflę rzeki w sposób całkowicie odrażający, aż trudno uwierzyć, że wszystkie stoliki na tarasie wolne.

Wybawcza przychodzi myśl - koleje żelazne! Jak wiadomo świetność ich dawno miniona, tymczasem ślad węgla na torze pozostawia subtelny a żywy urok eskapady, mimo odrazy kłoszardów I pilnujących ich sierżantów; jak widok ten samotnych, porzuconych postaci miałyby nie spotkać się z żywą ich samych odrazą!

- Basta - nie patrząc im w oczy I przemyka wprost na peron, - w każdym razie nikt z nas groszem nie śmierdzi, ale też niektórzy wyglądają wyjątkowo paskudnie, można by powiedzieć - ostatnie mamrotane jeszcze na ruchomych schodach sylaby wpadły w środek jakiejś innej sytuacji, trzech tubylców podniosło wzrok znad papierowej torby,

- Dałbyś na piwo, Twardziel...- I niewiele warty żeton telefoniczny ofiarowuje pod postacią cudu, że na straganach wolą prawdziwe pieniądze, wiadomo.

- Wszyscy żyjemy z cudu, kolego - najstarszy był tu chyba jasnowidzem; pociąg do Gdańska odjeżdża za dwie minuty. Nawet limuzyny tak punktualnie nie podejżdżają a co dopiero aeroplany. Przypadek, oto kogo widzicie w sektorze czwartym. Natasza w złotym zegarku, poprawia spadający na czoło kłos pszenicy. P r z y p a d e k.

*"Fader Aj nou Ju ar
in dy Skai baptizajd
Uir Ueitin Ju
dy San of dy Mader
Kamin Kamin
dy San of dy Mader
Kamin Kamin tudej"*

ROZDZIAŁ II

Hałas. To z niczego się rodzi ciąg dalszy. Niemożliwe staje się możliwe. Pifpaf, dwóch ludzi w urzędowych czapkach przyłgnęło do I. Powitali go dziurkaczem do biletów. Z tamtej strony to byli Amerykanie. Ona muska go palcem po kolanie ładnym, trochę włoskim. Nie masz pisać tego. Nie do opisanego piękno świata, zameczki, cyferki, twarze ludzi, w twarzach same oczy od prawd do praw. Nota bene myśl o prawie pozytywnym nagła, o posiadaniu, podczas gdy życie ludzkie wiedzie przez nieposiadanie ku szczęściu. Sztuka wyrzekania się możliwości - ich niewyrzekania w sobie. Pifpaf. I już się coś zatkało w tej opowieści, coś z niej wyleciało, klucze wyleciały z rąk. Piszesz o tym wzajemnym ze światem niezrozumieniu. A przecież szczęście tylko przez zrozumienie. Po tej lepszej stronie Człowiek ma pierwszeństwo Boga. Odczuwa całym sobą rozpaczliwą pomiędzy wolnością a niewolą przepaść. Nieposiadanie wolność daje. I jak w tej sytuacji zatrzymać posiadanie mózgu ?

I sam stoi na przegubie pomiędzy wagonami, bez najmniejszej choćby konstatacji u n i w e r s a l n e j czyli coś na co czeka do niego jednak nie przychodzi. Oddaje się pulsom światła. Przed nim ściana tunelu.

- Kraków błogosławiony powinien być stolicą świata - wzdycha w uniesieniu (zobaczył trzy korony; trzy stany zobaczył u progu modlitwy).

- Szczęście na twarzy kobiety, która leży przede mną - imaginuje patrząc kątem oka na Nataszę.

- Godność dla ciebie, mężu, a dla mnie pokora. Oby tak potoczył się nasz los, ljubowczik! - jeszcze tego samego wieczora Natasza odmówi w intencji tej szczęścia Koronkę.

- O dziesiątej będzie jasno, dokładnie, jak ładnie....o dziesiątej będziemy....za chwilę - oto co mówią do siebie ludzie.

Czasownik, prosty czasownik, cisza, w której buczą podkłady kolejowe, pasażerowie do albo z Nowego Jorku ustanowili pomiędzy kochankami konstrukcję tak bez wysiłku ciała swa krzyżując, że wielu z nas zapomniało o własnym swym towarzystwie.

I znów dostaje jedno tchnienie słońca na dwadzieścia pięć sekund. Znowu potem mijamy ścianę lasu, pociąg dąży do tworzenia, słońce tylko podąża za nim, piękny akt na szybie złoty emblemat.

- Cultura mea culpa - słyszy I tuż nad głową, a teraz najpodobniej modny zygzak chmury, a przedtem Amerykanka całkowicie zwariowana szukała swego portfela.

A Natasza do niej podgaduje po angielsku obserwując cztery pary nóg, nie widzisz która nieprawdziwa, autentyczna kula, drewniana laska, wspomnienie różowej protezy opartej o blaszankę śmietnika I cztery pary nóg w sztucznych mysich spodniach, szarości I brązy - widok to szlachetny I doskonały.

- Wszystkie się znamy, nogi kochane, moje też tu nikomu nieobce, wygryziony obcas podarowany mnie obdarowanej na nikim nie robi wrażenia, na szczęście - myśli Natasza po swoim.

- W każdym razie na to wygląda, że jadąc z Krakowa do Warszawy zachód ma się po lewej ręce; nie pojdziesz, lecz prawa to niebieska podpora Nieba. Jak ci na imię?

- Natasza, proszę pana.

- To było wyznanie wiary, moja niech będzie literatura, kochana Natasza. Mgły nad polami.
- Jakże wielka jest słowa wolność, myśli niepodległość, gdy bezruch głowa najszybciej i najlepiej fruwa.
- Czy on przez okno aby nie wypadnie? - szepcze Natasza na w pół do siebie samej, na w pół do popiego ucha.
Popa tu nie ma naprawdę, o nie, gdzie by tu pop był, Piotrków Trybunalski, to tak, to tak. Piękny i siwy pan sztywno mierzy okiem w świat za szybą, długo dzisiaj będzie jasno. A twarze tamtych widać aż nadto dobrze, dwa położone na oparciu profile. Ten drugi przykucnął z nieba. Ten pierwszy wyszedł z ziemi.
- Hew ju sin det hanej? - uśmiechnęli się do siebie, coś się zatrzymało, - ...coś się zatrzymało, zając jest może na torze, o widzisz, pojedziemy, jedziemy dalej...

Osobiście uważam, że z gruntu może być denerwujące takie pisanie. Robię to zniechęca po długich chwilach ciszy, zapisuję kilka zdań, bezlitośnie myślę prysnąć stąd gdyby wstali z fotela zeszyt mój odebrać, odbić jak łup wojenny, na pewno wniwecz pogrzebać.
- Chciałbym się przedstawić panie Wu, jestem gotowy wyznać winy - taki głos w telefonie się pomyślał.

Zamek błyskawiczny okropnie uparty, zżyt i poszło dalej. Podróż. Zauroczenie. Hipotezująca moc błahych pędów. Tym sobie pewnie reszta podróżników tłumaczy moje okulary nieprzezroczyste, mocno zarysowane optyczne szkła a pani w nie patrzy, i pan - pomijając chwilę skupienia na twarzy, myśląc sztukę ze wszystkim, a najbardziej z tym co ładne. Jest nas sześcioro i niech nic tego nie zmieni do końca podróży. Patrzymy w okna, przez zwykłe szyby, nie w oczy, lecz piękny starzec ledwie zachwycił mnie spojrzeniem. Czy to Warszawa, Warszawa moje miasto...!

Wraz ze spokojem do i mistyczność przychodzi.
- Obrazy luksusu nic nie znaczą, nic nie szkoda, Natasza. Miła moja. Jak piękno bywa - dobro nie jest puste. A razem popatrz - piękno tej chwili, gdy ojciec dawno stracony do ciebie przychodzi!
Natasza z lubością zwilży wargi swe łzami słodczy.
- Takiego życzę ci uścisku, dorogoj! No co ty tu robisz, szukaj, szukaj ojca swego, ljubowczik.
- To nowa podróż to nowa podróż to nowa podróż - krzyczą źrenice....
I dawno nie widziany spaceruje nadmorskim bulwarem śledząc bezdomnym wzrokiem chorego w głowie ojca.
- Jeśli wrócisz pewnego dnia do siebie, pamiętaj o butach - szepcząc stary mężczyzna wzrok wbija w ziemię z jej poszanowaniem.
Od razu i początek i koniec rozmowy.
- "Hecho en Mexico" napisano na moich - sprawdza i silne doznanie muzyki samolotów, huk jeszcze poniżej granicy dźwięku niesłyszalnego przerywa ten wątek. Bez zwłoki zawracają z czasu. Uciekinier i Wariat. Zniknęli.

Lustro stoi na progu wszystkich nie wydanych powieści. Szukajcie a znajdziecie, podobnie jak dziesięć innych przykazań, sto, dwieście, klucze są dane jakże na pewno. Wróć do siebie - pierwszy krok w dobrym kierunku. Kiedy obrazy rozkoszy i cnoty są ci rozkazem - wtedy wróć. "*Pięknie do pary*". Tak właśnie rozumiem slogan monotony i niewyraźny głosu wewnętrznego -

piękni je śli do pary. Cóż by to mogło znaczyć? Weź czekoladę do ręki, wysysaj kości, popijaj wodą, sięgaj po więcej. Ulga. Zgaga. Upadaj I podnoś ramiona. Prawda wyrażana w najprostszycy potknięciach - skutki nie są gorszące, jeśli to przyczyny, ale otworzysz bramy w końcu, jesteś owcą, zobaczysz się owcą w Świecie Bożym.

- Chcę być wyjątkowym, Aniele mój.
- Wszystkich nas trzymają na pastwisku, a strzygą po jednym!
- Czemu to, czemu to, prawda ?

Okna pokoju wychodzą na ulicy stronę radosną. To bezcenna właściwość. Najbardziej skryty zaułek - jak wiadomo najciemniej jest pod latarnią - zajmuje ojciec I przy stole jadalnym, który pełni zarazem rolę mennicy. Frazy tej sytuacji pełne są tajemnic.

- Tylko z powodu tego widoku wynajmujemy tak kosztowny pokój - oznajmił I zamykając w dłoniach plik banknotów.

- Jest nas w sumie siedmioro - rozważa ojciec, - od osobników bardzo małych, circa 110 centymetrów po roślących samców o posturze sięgającej 185 cm. Te 75 centymetrów czyni nasz świat bogatym emocjonalnie. Oto prawdziwy powód starego porządku, stadnego trybu życia, jaki prowadzimy; jest ich siedem do siódmej potęgi - możliwych związków pomiędzy nami. Wyobrazić sobie nie trudno przypadkową pozornie kombinację: 119 - 143 - 172 centymetrów, które przemawiają kubikami powleczonego tkaniną ciała - posłał Nataszy uśmiech.

- Może herbaty zrobię panu ?
- Chętnie.

Tymczasem I czas ten popołudniowy poświęca rozpamiętywanej pokucie.

- Kocham cię bracie, który zdradziłeś, kocham cię matko, która zdradzisz - myśli - wspólne przeżywanie kosmosu nie ma tu nic do rzeczy. Pragnę kochać w każdym czasie. "*Im więcej czasu tym więcej miłości*". Nienawidzić nienawidzić. Kochać nienawidzić kochać kochać nienawidzić, proszę, błagam o pomoc, ja baranek, łaską to pojąć, cudem zrozumieć słowami. Kochać kochać czy nienawidzić nienawidzić? Spaceruje mając na widoku Nataszę w patosie, Nataszę wspartą o kamienne bulwary portu.

- Wygląda jak rzeźba. O, rzeźbiarzu któryś nas wszystkich wyrzeźbił! Drapaki, pięknoduchy, abstrakty I puste szklane banie - tych jest szczególna obfitość. Najsilniej doznajemy Ojcostwa Twojego opuszczeni przez nam podobne samotne zdobiące nadkruszone postumenty posągi, urwane ręki, stłuczone nosy, gołąb obryzgał me czoło. To tu nas zostawiło, opuściło, w zaułku stoję ja - boski wizerunek Człowieka, a duszyczka zalewa się łzami Nataszy kochanej...

Natrętne umpa umpa umpa wrywa I prawdziwego do życia p r a w d z i w e g o (w rzeczywistości to coś więcej niż pokój, o wiele więcej - to Pokój Boży, który zajmuje wraz z liczną rodziną).

ROZDZIAŁ III

"Drogi Przyjacielu,
właściwie sprawa, z jaką się do Ciebie zwracam dotyczy powieści, trzeciego rozdziału mojej pierwszej książki. Oto I on. Jego rozpaczliwy początek. Skoro, jak widzę nosisz się z zamiarem wciąż od lat tym samym czy nie zechciałbyś napisać do mnie obiecanego listu, do c h o l e r y j a s n e j ! Czekam.

Nie wyobrażasz sobie jak trudno skupić myśli nota bene, wtedy gdy najbardziej tego potrzeba, właśnie umykają myszki moje do dziury. Powołanie do życia myśli powoduje jej natychmiastową ucieczkę - być może efekt ten wywołała książka innej hiszpańskiej mistyczki, gdy odkryła pokorę odmawiania sobie dużej części Boga - tak jakby mniej Boga miała mieć pod postacią Hostii. Doskonała rada w mojej obecnej sytuacji. Pod oknem południowym - nie znasz go, podobnie jak mego ojca - mały płomyczek palnika dentystycznego, to właśnie ojciec mój w milczeniu topi srebro I złoto. Szum, raczej podżwięk ręcznej wirówki, ciągle ten sam od rana, to z nim ulatują wszystkie moje myśli. Pocieszam się, że to co zostaje, maleńki kawałeczek - ten mi starczy za całą radość.

Niecierpliwie czekam na ciąg dalszy."

Podpisano i duże w kółku.

Czy usiądzie naprzeciw?

- Co, tato? Czemu zatroskaną masz minę? Telefonu szukasz do starego życia?

- Chyba tak - bez wahania zostawia mnie ten Człowiek samym tu na minut kilka. Nieobecny obecny nieobecny, to znaczy nienawidzieć nienawidzieć kochać. Piszę słowa mojej pierwszej książki w Roku Małych Muszek. Czy to tak czy inaczej to tamto znaczy, kompletnie nieciekawe obserwacje stanów zewnętrznych kiedy właśnie w środku tyle się dzieje. A ciało wydane na pastwę broni biologicznej, pięć tysięcy muszek wydanych na świat w jednej chwili już to przez wyobraźnię, już to mimo ciężkich snów, podnoszę wzrok ku górze, tam tuberkulozy białej chmury, jej tkanki pulmonalne, że się tak wyrażę, choć trudno byłoby z tych słów się tłumaczyć. Im mniej tym bardziej I więcej się dzieje - znakomicie więcej, gdy nic ciszy nie tłumi - ona u stóp Twoich, Panie, tedy widzę najwięcej z niezwykle zwykłych zjawisk, dostrzegam w sobie strumyczek, dotykam w sobie kamyczek, doprawdy łowisz słowa gołymi rękami jak młodzi zadziwieni tym prądem wioślarze, zbyt wiele możliwości, zbyt wiele fal, w końcu umykają wszystkie pstrągi w popłochu albo wesoło, kto wie. Jak prawdziwy pisarz - codziennie wyciągnąć się na c o n a j m n i e j osiemset słów...., dwieście (to chyba nie za wiele?) - tyle trzeba by stał się cud, nie więcej niż osiemset słów, ...aaa! Nie czuję sił by dobrnąć do setki.... Bez najmniejszego patosu wykorzeniam się z siebie, przypominam chwast oporny I dolegliwy (nie wspominam bólu, bólu nie ma przy tej sprawie) I ciągnę za sobą jakieś dwieście siedemdziesiąt słów do chwili, gdy samochód wraca.

"Jeszcze nie jestem pisarzem a już sześćdziesiąt pięć" - oto co po długiej przerwie znajduję. Co dalej, ale co dalej?! Jakże ta myśl zostanie rozwinięta? To nie pleśń to mąka o ile w ogóle, o ile w ogóle można by pozwolić sobie być tak kompletnie niezrozumiałym. Tymczasem wiele opowieści zachowało jednak swój rytm, sens rytualny, oto co obalam dowodem ze sloganu: *"dystans to reality dżointy misti"* (na dowód dowodu

koniecznie pamiętać pomieścić dokładnie w tym miejscu plik tato z worlda; co najmniej jego drugą część).

- Poczulem to co zapomniałem, Natasza, ratuj!

- Te I inne opowieści zaprzatają twoją biedną głowę, Ijubowczik, ty jej nie możesz nerwować.

- By jej nie dopuścić ku jakiegokolwiek, tyle że trwałej reinkarnacji, Natasza, czuję tylko I wyłącznie pęd chwil, które kiełkują skarlałymi wątpliwościami - tymczasem piękno inne...Słuchaj: piękno tej chwili gdy o liście wina w lustrze słońca zachodu potykając się krople miodu wydają dźwięk nienowy przyrody.

- Uoj... - głęboki wzdech Nataszy porwał w nich namiętność, jednym ciałem się stali dla jednej tej chwili, a ich dwa psy nastawiwszy kształtki nozdrzy podążyły za zapachami łąk I pól.

- Żyjemy tu, na skraju chrześcijańskiego świata, Natasza... - tak właśnie odezwał się I gdy nocą ugasił już ognisko - być może ziem tych nigdy nie opuszczę.

- Jeśli I tak miałyby być - niech Pan ci na to pozwoli, dorogoj, pielęgnować światłość, niechby on chciał....

Cisza.

- Zamilknięcie Człowieka to nie znaczy cisza, cisza to ty I ja byśmy nie mówili, gromy by nie padały z jasnego drzewa, wtedy cisza. A tak, co to za cisza...

Pies fuka I śmierdzi, rozerwana w tym domostwie rynna pierdzi, bąk, kuna, burza, o miłości nie, ani słowa. Chcę zanotować t y l k o i w y ł ą c z n i e, upajam się tą jedną jedyną butelką wina, jakże niechłujnie mi się mówią te kwestie, podczas gdy dusza ma ulata wspominając sen pod wpływem makabrycznych przeżyć w pierwszym wymiarze, właściwie sen o rzeźbie socjologicznej, wpuszczaniu ludzi w obszligły kanał pnącego się w górę labiryntu zakończone oglądaniem ich napiętych trudem wspinaczki sylwetek przez szklane ściany piramidium. Dziś, nawet jeśli uda mi się cokolwiek zobaczyć, drzę ze wzruszenia niczym w auli Politechniki rano wyobrażając tę samą niewdzięczną akustykę w moim własnym ciele, miejsce do modlitwy nauki, nie śpiewu, tak się zobaczam, a la teologo. Okrywam w sobie aulę wilgotnym zapiaszczonym ręcznikiem wspominając Pana, który świat urządził tak doskonale, że ziemia jest jeziora przewodnikiem, a ty piorunochronem. Chcesz być obojętny? Idź spać poeto pijany!

- Jeśli życie jedno jest, jedno jest moje pragnienie... wiecznooooościiii!

- I stał z głową zadartą przedłużając Naturze to "i" w nieskończoność, "i" w skończoność piękna rybitw, jakie kołowały mu wtedy nad głową, szybowce doskonałe, zwrotne, lekkie I sprężyste. Przypomniał Nataszy mimochodem teorię zasłyszana, że wszystkie sztuczne są twory Natury, wymyślone pewną ręką Boga, to miano powiedzieć, choć I budziło to w nim powszechne zdziwienie.

- Ty nie panujesz nad swoim, no jak wy to mówicie...potokiem? Uoj, nie.... - Nataszy śmiech jak klawesyn wysoko - nu co ty, kochany! Jeden potok Pan tobie dał, to ty go pilnuj.

- Amen - I przyklęknął. I rzekł - ciągle piwrzę, że.....ciągle wierzę, że sens bezsensu jest mi już bliski, że dziś jeszcze zrozumiem, kiedy przychodzi ku mnie łaska pardwy, nie....prawdy perlistej. Prowdo mi się chyboce, piórko mi się migoce. Hej.

ROZDZIAŁ IV

- Warunkiem życia jest śmierć. Śmierć by czcić Ojca swego I miłować Brata swego. Nie zasłaniaj własną pierśią pejzażu nieba! Nie odrywaj bliźniego swego od niego samego! - gest buntu, z jakim I poderwał się od stóp Nataszy ponad miarę teatralny.

- Pozwalać na wątpliwości, oto męstwo! Inny rodzaj męstwa - wytrwać w obiegu rzeczy. I jeśli naprawdę śpiewam pod nosem Polsko, Polsko, dlaczego straciłaś swoją mistyczność, jeśli naprawdę tak śpiewam, to dużo wiem, dużo mnie boli. Ale posłuszeństwo trzeba znać, wiesz ty co posłuszeństwo, ty ? Kochać macierz I się z nią zgadzać, z osamotnieniem I jak to powiedziano kiedyś s z c z y t s y t u a c j i! Oto posłuszeństwo. Już ty to znasz!

- Ależ, dorogoj, posłuszeństwo dać własny czas b e z i n t e r e s o w n i e, ty rozumiesz co ja tobie mówię? Te twoje miliony kilkometrów taśmy rozdawać wśród przypadkowo poznanych ludzi, to z nimi łączy nas Ojciec, nie inaczej - kochać przez więzy krwi niebieskiej, ty rozumiesz co ja do ciebie mówię?

I machnął ręką, wyraźny dał znak zniecierpliwienia.

- Natasza, ty głupia, kiedy ujawni się prawdziwa istota wielkich rzeczy, pytam, to że niebo, wiatr, deszcz, słońce należą równo do wszystkich, kiedy przyjdzie ten czas? Nędznicy, ci co w więzieniach, ich najbardziej okradziono. I czego ty tu tak po ciemku siedzisz, Natasza, ja bym sobie to odsłonił, taki ładny widok jest. Pisać o niebie nie widząc nieba!

Byłoby całkiem nieźle doprowadzić za kilka tysięcy kilometrów chwil do spotkania, "właściwie co autor chciał przez to powiedzieć", spotkanie z cenzorem, te muszą być najciekawsze, cenzura, prokuratura, proces o uwalniająca cudze myśli grafomanię, akty oskarżenia z obu stron. Inaczej niż przewidujesz - za wiele tysięcy kilometrów taśmy z myślami okażesz jednak niebywałe dotąd posłuszeństwo swojemu losowi, dobre myśli będziesz uprawiać na złych uczynkach, na byle jakich uczynkach bliźnich. Amen.

- De labora soli - nudzi mnie I boli; miliony kilkometrów taśmy rozdawać wśród przypadkowo poznanych ludzi! Oto moje upokorzenie. Jako inny rodzaj sytuacji, jakże niewiele z tego rozumiesz! Czy u was, na wschodzie nie tego uczą w szkole? Chodziłaś do jakiejś szkoły, Nataszka? Chodziłaś, chodziłaś, już ja to wiem. Więc ci mówię - może się zdarzyć, że ktoś cię upokorzy z bezbłędną intencją upokorzenia, a ty to upokorzenie weźmiesz na siebie, bo się wzięło, bo wzięłeś wiele kilometrów odtwarzania siebie wstecz określoną definicję porządku za dobrą monetę. Wypełniłeś serce wolną wolą napotykania dobrych myśli.

- Dobra myśl: nie zabijaj - Natasza niespodziewanie przeszkodziła wibracji oskarżenia, ze zrozumieniem kiwając głową.

- Dobra myśl? Nie zabijaj? Twoim zdaniem to jest dobra myśl? - I zdawał się szaleć.

- Leder uomen! Mitomanka! - wyszedł, właściwie wybiegł do hallu. - Portier, wyjazd! Płacić!

Napisał: *"Pięćdziesiąt escudos masz, to się ciesz"*, jedno jedyne zdanie na kartce pocztowej do ślicznej dziewczyny z trafiku z gazetami, niemożliwie pięknej dziewczyny. Myślał stworzyć bez komentarzy opowieść o przetrwaniu, jej pomóc przetrwać w przyszłość, czas który się zdarzy. Siebie pod postacią natchnionego I szalonego blondyna z Rosjanką I Starcem po dwóch bokach stworzyć. Podając jej tak niespodziewanie widokówkę z

modernistyczną litografią wyobrażającą spittajera, nigdy przedtem ani potem nie zamienili słowa, odwracał zarazem uwagę od chorobliwej ciała swego wibracji, mantry tych dni święty-judo-tadeuszu-patronie-spraw-trudnych-i-beznadziejnych-uproś-u-najświętszego-serca-jezusowego-i-u-najświętszej-maryji-panny-łaski-o-którą-bardzo-proszę-błagam-ojcie-nasz-któryś-jest-w-niebie-święć-się-imię-twoje-przyjdź-królestwo-twoje-bądź-wola-twoja-jako-w-niebie-tak-i-na-ziemi-chleba-naszego-powszedniego-daj-nam-dzisiaj-i-odpuść-nam-nasze-winy-jako-i-my-odpuszczamy-naszym-winowajcom-i-nie-wódź-nas-na-pokuszeniealenasz-bawodezłegoamen.

Tak odwiózł ojca taksówką do szpitalnego przytułku. "Cały świat jak Alfred Hitchcock" wielkimi literami napisali w gazecie, komuś się to widocznie pomyślało, ale myśleć jaki jest cały świat? Lepiej myśleć: "Niech się okaże dobre spotkanie, nie, pięć dobrych spotkań w środku niedobrej sytuacji. Niech ktoś się do mnie przyzna, Człowiek do Człowieka niech wyciągnie rękę pośród tłumu."

Pożegnali się krótko ojciec i syn choć stary płacząc zatrzymał nagle chwilę spotkania niespełnioną.

- To nic to nic to nic przyjadę jutro - I otarł mu łzę wierzchem dłoni, jak starszy brat, miłośnik młodszego brata, a z twarzy zdjął żal a położył uśmiech.

- Uprzejmie dziękuję za mile spędzony czas. Kiedy przyjdziesz? - to ojciec, Ojciec mówi tobie, oddajesz go ludziom obcym synu bezdomny, pochyleni ku sobie stoicie pod klasztornym murem, więźniowie obu stron.

Najprostszy do głowy przychodzi ratunek:

- ... tato! tato! co co co? goście jadą! no to co? dzień dobry. dzień dobry. cmok! cmok! cmok! dzień dobry. dzień dobry. cmok! cmok! cmok! - a zaraz po tym wierszyku, którego razem się uczyli, jednym tchem, żeby miejsca już na wątpliwości nie zostało - idę, ojcie, - a za chwilę - Natasza, Natasza, Natasza ratuj moją głowę! - a za chwilę - wracam, wracam, wracam.

- Ty chcesz wracać, drogoj?... twaje praszczianije obieszczianje szto nie zabudziesz ty mienia.

- Nie płacz, piękna, czemu ty płaczesz, napiszę do ciebie, zobaczysz.

Tylko pamiętaj, napisz.

ROZDZIAŁ V

- Ten szal, którego dotykałem należał do ciebie, Ewuszka, rzuciłem ci pod nogi świat, wszystko czego sam nie umiałem złożyć u twych stóp. Kocham cię, kobieto, czemu więc mnie dręczysz, za jaki grzech odpowiadam, dla Boga! Zaraz do ciebie zadzwonię, zaraz się zobaczymy, wrócę do domu by uściskać nasze dzieci, troje, czworo dzieci, trzech synów i dwie córki, spotkać całą naszą rodzinę niewiele już ich zostało od kiedy mały chłopiec, jaki tam chłopiec, zuch, na oklep pędziłem po wołyńskich polach, bez siodła okrakiem jadę na grób ojca, wiesz przecież... - na oddział od strony palarni zaledwie pięćdziesiąt stopni.

- No i co, Romanie, wróciłeś pan? - krzywe zbiegają się linie twarzy mężczyzny w wózku niewiele większym od dziecięcego.

- Tak, wróciłem, bardzo mi przyjemnie.

- Oddali cię, Romeczku, no to chodź...dzisiaj będziesz spał pod czwórką - niewyraźna kobieta w białym fartuchu podgłośniła telewizor wspinając się na czubki palców.

- Przepraszam, nie dosłyszałem?

- Mówię, że będziesz spał pod oknem w czwórce, twoje łóżko już zajęte.

- Dobrze - sprawiał wrażenie rozumnego, w rzeczywistości nie wiedział Człowiek jaką prowadzi rozmowę.

- A gdzie masz jakąś torbę, nic nie miałeś, co, zostawiłeś na dole? Powiedz! Torby ci żadnej nie dali? Idź po torbę, na dóóóó, wróć, mówię, po torbę!

Pięćdziesiąt stopni w dół, pięćdziesiąt stopni w górę.

- Jest bardzo ważne, aby żaden dźwięk nie zakłócał mojego stada, stada moich myśli, które pasę na łące wspomnień. Myśli, z których się mogę wycofać to baranki ofiarne. Reszta zostaje przy mnie jak długo żyję, na wieczność, ze mną wraz się przeistacza, pod wpływem chorób upada, a ja dbam by stado utrzymać, to moje zadanie. Nie widzę ponadto nic pożytecznego co by się tu robić dało. Nie wiem czemu tu jestem, czemu po schodach tych chodzę, czekam na powrót do gabinetu Nieba, tam gdzie wszystkie one powstają, a z nich tajemnica wiary, że tak się właśnie stać może, że tak się stanie, w powstaniu chwila powstanie. I tak też nieznanie w tobie powstaje, ergo w tobie niepowstane, uczucie miłości w tobie się urodzi, choć żaden Człowiek cię nią nie obdarzył. Bóg tak do ciebie mówi, Synu, abyś ożył.

Cała ta sytuacja robi jak najgorsze wrażenie, podczas gdy chodziło o efekt wręcz przeciwny. Postępuj należycie. Nie zmarnuj chwili. Masz czego ci trzeba. Szum mórz. Wieczności długą perspektywę, starsze niżli ty sam drzewa, przyjaciela psa, dali ci na drogę znak. Dojdiesz. U dobru zwyciężysz.

I siedział na kamiennej posadzce u drzwi starego życia. Czekając na ślusarza oddawał się rozkoszy cofania czasu do chwili gdy z sobą nie był, a był z innymi. To znaczy innymi sobie wyobrażał świat. To znaczy młody był, więcej nic, jeszcze przed śmiercią, gdy oto w efekcie długiego życia bolą go korzonki. Mówi:

- Przychodzi ślusarz, rozbiera zamki, wchodzi do mieszkania, rozliczają się, ślusarz jak gdyby nigdy nic wychodzi. I wyobraź sobie następnego dnia w południe facetowi wynoszą wszystko z mieszkania, podjeżdżają ciężarówką, że niby robią przeprowadzkę i spokojnie pakują

manatki. Na końcu wychodzi ślusarz. Trzyaktówka o konformistycznym gadaniu złodziei.

- Nie chcę tego słuchać. Nie chcę słuchać o tym - sapnął w słuchawkę urażony Fredzio, - Powiedz mi lepiej jak twoje ciśnienie?

- Wiesz, ja się jakoś nie najlepiej czuję. Lecę w całkowitej pustce uczuć. Bardzo wysoko. Tymczasem uczucia bardzo nisko przenikają się wprost w mój cieć, jednak optymizm jest k o n i e c z n o ś c i ą wiary.

- Wedle mnie jej złożonością. Tym różni się mistyczne od niemistycznego. Ale też, przyznaję, obserwacja świata jest tu całkowicie niewystarczająca... Weź na przykład widok ten nieciekawym, codziennie mam go za oknem, na dęba pniu, w tej chwili właśnie, o, uciekła czerwona czapka dziecięcia. Można by tu przypomnieć, że ta czerwona plama charakteryzuje samiczkę. W każdym razie, cóż przyjdzie nam z tych widoków?

- Fredziu, po niewidzialnej stronie dębu, nawet nie wiesz, Chrystus marznie z podniesionymi do góry rękoma, krzyż drewniany czy żelazny z czasem mu z ramion odjęli.

- A ty skądże wiesz o tym?

- Zawierzyłem. - I zamilkł.

W myśli cicho przedkłada:

- Święta Emanacja, coś się nam dzisiaj kiepsko w piecu pali.

Wyobraź Człowieka sobie, ku któremu myśli na raz wszystkie przychodzą, wyobraź, którego nie oddzielasz od najboleśniejszego w s z y s t k o d o w i e d z e n i a, w ustach święty orzech...

Na głos dodał:

- A jeszcze do tego, że jest sens o tym mówić, to też wiem na pewno.

... Praca, tej się lepiej poświęć.

I siedział swobodny w pozycji dziecięcia na metalowej drabince skręcaniem pracowicie zespalać miedziane druciki.

- Nie ma powodu Fredziu, mówić o tym.

- Ależ jest jeśli zamierzysz pracę pokazać jako jedyny powód konieczności, wolności uświadomionej; pracy, tej która jest zamierzysz wydobyć sens.

- Reperuję żyrandol. Usiłuję odnaleźć ukryty w babilonie poza tym jednym wymiarem przekaz autentycznego wewnętrznego słowa, które objawia sens istnieniu, Człowieku. Dlatego też, od chwili gdy to pojąłem, zejść z raz obranej drogi nie mogę.

I z coraz większym trudem przyciskał uchem do ramienia telefon tak mały jak paczka zapalek. W głębi duszy nie pragnął tej rozmowy, powtarzał w myślach:

- Zakończ mistyfikację pustego mego ego! Zakończ!

Na głos:

- Muszę kończyć, kochany, wyjaśnię ci to innym razem. Ukłony dla mamy.

Jest! Pali się, zaiskrzyło światłem między palcami, jak świętemu woń cudna nieznaną tak I tobie głos Anioła w duszy opowiada:

- Najzwyczajniejsze sprawy mogą być przyczyną wielu nieporozumień, a co dopiero sprawy wielkie, tajemnice. Czyż nie czytałeś dzisiaj zdania o cudownej naturze spraw, o tym jak większość problemów znika nigdy nie rozwiązana? Tak I ty sam w sobie znikasz nie polepszany, jeśli sam przez siebie nie zdołasz się polepszyć. Remember! R e m e m b e r !

Zapisał czym prędzej:

"Skutkiem całkowicie błahej myśli, czas jej poświęcam bardziej z obowiązku I dla wprawy niż z autentycznej potrzeby serca, zapanował kompletny chaos. Na przestrzeni dziesięciu strof sens zaniknął. Pytam o temat, pytam o porządek, wiem jednak dlaczego pytam, o pardon, nawet nie

wiem dlaczego właśnie o tym wspominam, chyba tylko na marginesie...to wielkie rozczarowanie nie znać tematu rozmowy, mam na myśli Boga!"

... w słuchawce zapadła dosłowna cisza, Natasza złapała krzyk w dłonie, dech zdziwienia w dłonie:

- Ja do ciebie dzwonię, żeby zapytać jak ty się czujesz, dorogoj? U nas całkiem śniegu napadało.

- Ach....., to ty...., Natasza, Natasza, przerwałaś mi dysertację, wybacz, jestem kompletnie złamany, dosłownie ledwo się ruszam, nie mogę pracować, od tygodni nie napisałem ani linijki, nie miałem siły do ciebie nawet napisać, a co u ciebie, piękna, mam tyle myśli w głowie, napiszę, na pewno napiszę, jeszcze nie w tym tygodniu, dni są takie męczące...cieszę się słyszeć ten twój śpiew, Natasza, Natasza!

- Tylko pamiętaj, napisz.

Teraz wrócić do myśli jak najszybciej - Natasza dzwoniła - do myśli zasadniczej po co się dzisiaj wstało, nie, to jest myśl druga, tamta inna, zmysłowa, dotkliwa, spotkanie skóry ze światem porządkiem czyli rozpamiętywanie, r o z p a m i ę t y w a n i e, coś czego robić nie powinien, dobrze, że zadzwoniła, sprawy najprostszej cud, misteria cała, przejść ten dzień w pokorze, małoż to razy zadałeś jednak pytanie czemu błąkać się gdzie szum mórz, Człowieku, gdzie dzwonki gór! Ludzi szukać? Ludzi szukać. Oto I tajemnica. Zero zero trzy trzy osiem jeden dwa zero osiem cztery.

- Natasza? To ja. Przeczytam ci co napisałem:

"Albowiem wracasz tu, amore mio, rękoma spękanoskórymi wydobywać dalej tę przestrzeń, ukazywać kolejne stadia stawania się człowiekiem o porwanej twarzy rzeźbiarza. Jakby to było niewygodne wracasz tu jednak po coś, zaledwie wiedziałeś po co usiąść przy tym oto stole, to po co wracasz wymyka ci się z rąk, szklanka wypada z rąk..."

- Pięęęknę, pięęęknę, dorogoj, ty tak pięknie piszesz, nikt tak nie pisze.

- Naprawdę? Podoba ci się? Płytkie. Jak gwoździem po ścianie!

- Nie, piękne...

I znowu westchnienie.

- I ja takiego wielkiego pisarza zapoznałam. Wielkiego polskiego pisarza.

- Nie chcę już gadać, syreny wyją, muszę zobaczyć co się dzieje. Âpij dobrze, Natasza.

Biiip.

- Ui kayndli inform yu derar only tu minyts left.

Bip. Powód paniki, jak wszystkie inne, skąd przychodzi taką się staje paranoja jednorazowa.

- Fredziu, to ja, kochany, co u ciebie słyhać? Mamy dwie minuty. Nie da rady pogadać. Syreny wyją całą noc za oknem, chyba idzie pełnia; nie wiesz kiedy pełnia?

- Zaraz pewnie będzie, a ty skąd dzwonisz, znalazłeś już jakąś przyzwoitą pracę, matka I ja bardzo się o ciebie martwimy teraz.

- Czemu właśnie t e r a z?

- Nie jesteśmy już tacy najmłodszy. Ja mam lat piętnaście, chodzę do szkoły, biorę amfetaminę, wolałbym kokainę, ale nie mam kasy. Nie mam dziewczyny, chyba że zostanę gejem, znam fajnych gejów, geje są fajni.

- Fredzio, nie mów tego.

- Wiem. Musimy kończyć.

- Minuta czterdzieści. Byłeś? Hong Kong widziałeś? Wróciłeś?

- Wczoraj, Wróciłem z podróży, co za szybko się dzieje. Piłem "frozen sake", wszystko, bracie, co chcesz - normal, hot I frozen!

- No nic, dobrze, że wróciłeś, prawie półtorej minuty...

- Półtorej minuty? Niemożliwe! A ty co robisz?
- Normalne życie, kręcimy się, wirujemy, żyjemy, tak samo jak wy na wsi.
- Ha ha ha...nawet byś nie zgadł, nas brzuchy bolą z nudów, matka jak zawsze, nie starzeje się w ogóle, a ja nie wiem co z nią robić, wywozić na spacer do miasta, czy co...?
- Minuta dziesięć. Żeby sobie babilon obejrzała? Daj spokój... Fredziu! Piszę. Wiesz na czym piszę, Fredziu? Na amidze, amiga moja, znaczny przyjaciółka, taki sprzęt przedpotopowy, że aż mi go dali w prezencie. Podarowali. Piszę teraz na tej amidze, wyobraź sobie. Nie wiem nawet czy to się da odczytać.
- Piszesz? Tylko czy z tego chleb będziesz miał? Trochę się powinienes zacząć martwić. To co, kończymy?...
- Bo ja wiem? Pięćdziesiąt sekund. Mów coś.
- A cóż ja będę mówił! Przyjedź kiedyś, to pogadamy.
- Fredziu, Fredziu, ja się modłę, wiesz, coraz więcej się modłę I dobrze mi robi, trzyma mnie przy życiu, po tym wszystkim co widziałem, co widzę, jestem taki słaby, osłabłem na ciele, kończę, Fred, kończy mi się...
Bip. Na twoje szczęście Najświętsza Panienka do was się uśmiecha, po dwóch końcach niewidzialnego zachwyca.

Wszystko co mogło mieć znaczenie. Konieczność pracy I jej brak. Poza tym oczywista słabość fizyczna uniemożliwiająca podejmowanie jakichkolwiek czynności. Częściej siedział niż stał, I nachylał się nad ziemią z żądka. A przecież to on wymyślił niegdyś ten cudowny zwyczaj słuchania ziemi. Inaczej niż wyobrażenie, globus, ziemia nie jest pusta, to co z sobą przynosi bulgot jej trzewi, tu - od epicentrum do ósmego piętra nad powierzchnią skorupy, przyrównaj do pożerającego ciszę komputera. Tak to mniej więcej słysząc, szum kolejnych warstw dźwięku trudnych do odczytania, nazwania, wypadkowa wszystkich procesów widzialnych I niewidzialnych, stworzonych, a nie zrodzonych. Szukał w tym oceanie akustycznym inspiracji po wielokroć, Ignąc uchem do podłogi, wreszcie też betonowej ulepy po oderwaniu posadzki; zdecydował się na ten krok, nazwał go zdjęciem futerału, o wiele wcześniej. Teraz, zatruty jadem donosów codziennych, gazetowych wieści, z ust do ust hipokryzji memłanej, dźwięków własnej duszy łowi sens w milczeniu.

- To Człowiek obłąkany zastawił pułapkę na nieśmiertelność, duszy niepodległość - pomyślał w chwilę po tym jak mgły opadły wokół wbitej w serce miasta Igły.

Stał przy oknie szukając wzrokiem ambulansu czy wreszcie jakiego bądź źródła ciągniętej od kilku minut syreny, od wielu dni.

- Fizyczne niedomaganie, psychiczne niedomaganie, tak to niestety wygląda, mój drogi - Fred dzisiaj rano, ze strzykawką w dłoni, dumnie unosząc całym sobą, wręcz najbardziej elementarnym swym indywidualizmem nowe bicepsy anabolicznosterydowe, rozprawdza w twym ciele płyny fizjologiczne i hormony wodospadem czerwonym. Od tej chwili zdolny jesteś żyć. I teraz właśnie ratujesz się myślą, że mgły w mózgu też opadają, pod nimi widoki bardziej przejrzyste.

- Poza tym ciśnienie się podnosi, mniej dzisiaj przyciąga - spojrzął w szybę - Nie ma dokąd iść. Nie ma dokąd iść. Wszędzie jest tak samo, wszędzie jest to samo, w każdej szybie ta sama twarz. Aniele, pochyl się nade mną, czy to ja?

Myślano przecież nie raz o sytuacjach ekstremalnych. Przez to rozumieć ból, pogardę, nienasycenie. Tymczasem by dochować wierności

przyjętej zasadzie, mniej więcej chodzi o proporcje wszystkiego we wszystkim, najpierw pozbawiam świat sensu, potem mu go daję. Zasada łągodności jest tu kwestią czysto formalną. Nie zmienia się światów szybciej niż w rytmie własnym, tu znaczy - spowolnionym, o jeden motyw czasu cofniętym w głąb rzeczywistości. A jednak skoro zasada łągodności odnosi się także do pacyfizmu, w tym wymiarze za cel stawiam sobie nawoływanie do porzucenia przemocy, wobec czego to właśnie łągodność rodzi pożądany ciąg dalszy opowieści.

ROZDZIAŁ VI

Im dłużej syreny wyły tym sen I stawał się niespokojniejszy. Przez pierwsze tygodnie traktował to zjawisko na równi z szumem w mózgu, elektromagnetyczną chorobą rezonową, nie chodzi o nic konkretnego, po prostu czujesz się coraz gorzej... Ale w tym przypadku, minęły już miesiące, dwa, trzy, nieusuwalność natrętnego zjawiska akustycznego rodziła klaustrofobię. Zachował oczywiście wyniesioną z dzieciństwa konstrukcję fundamentalną Wiara-Nadzieja-Miłość, co zresztą pchnęło go do niespełnionego pisarstwa, lecz sam siebie traktował jako *d o p u s t* Boży. Spotkani przypadkiem, na ulicy ludzie odwracali wstydliwie głowy, gdy zaledwie wspomniał bolesny ten dyskomfort, w końcu nie mógł spać, mimo, że właśnie w nocy syreny milkły regularnie o pewnej porze. Zapisał wręcz takie oto zdanie:

"Będąc przeklętym przez Braci nie jestem wyklęty przez Mniejszych od siebie. Szukam psa." A dalej:

"Oczarowani światłem fałszywego dnia, zatracili się jeszcze tej samej nocy. Oto co znaczą moje słowa: dobra walka ze złem. Nic ponad to nie znaczą."

Okoliczności te miały jednak pewną nad zmęczeniem przewagę. Uczyły niezwykłych form przetrwania, postu, jałmużny, jakby wcześniej, w kosmicznej świata przenikliwości, w średniowieczu, w baroku, nawet w czasach wielkich wojen nie były one tak bardzo potrzebne, tak świętości bliskie, tak dane, I Człowiek teraz poznawał je jako ostatni, wypchnięty poza granice anarchii, co od zawsze trzymała go przy życiu. Pragnął ze wszystkich sił zmęczeniu swemu I halucynacji przydać magicznych latarni, oświetlić jak misterium płomykami duszy, w ciemnościach dnia głos syren rozchodził się donioślejszy niż chcieli tego udręcyciele w złotym cieple! Bolało nie widzieć światła przed sobą, a droga przez setki dni, tysiące dni.

"Jestem gliną, Panie, otwórz me rzęsami zlepione oczy ślepe, Twój widok mnie uleczy."

- I oto w efekcie bardzo długiego życia wszystkie stosunki, relacje i n t e r p e r s o n a l n e ogólnie rzecz biorąc stają się nieważne - to właśnie słysząc I pomyślał jak bardzo jego stosunki były nieważne, mimo wciąż jeszcze młodego wieku, I zasmucił się.

- W końcu trzeba by to zrozumieć jak najprościej, ja też urodziłem się aby żyć, dalej, materia ta delikatna w ciągłym zagrożeniu wymaga wielu modlitw I pobożnych żalów, słowem w życiu całym wszystkim świętym dosyć żem się naprzykrzał, za jaką przyczyną? Aby żyć, mogę powiedzieć, aby w i ę c e j żyć. Niech mi Tosia nadziei nie odbiera.

Rozmowa zamiast śniadania z daleka od wizerunku pobladłego Nataszy, rozmowa z całkiem inną kobietą. Ta stara. Z krótko przyciętą chłopięcą grzywką, wesoła twarz. Tosia Piękna.

- I oto w efekcie bardzo długiego życia, powtarzam, wszystkie stosunki stają się nieważne - Tosia kręci prawą nogą w powietrzu, ruch przeciągły nogą w powietrzu miał żeby obrazować elegancję, irytację, fantazję? I porażony w końcu tym, co nazwij brakiem sensu, sytuacja kolejna nie prowadzi cię do nikogo, a więc trzy, cztery kwadransy na bezsensownych pogwarkach, I całkowity brak konstatacji.

- Jeśli zatem ktoś może tu przyjść, wejść z nagła po to by uszanować, bądź nie uszanować chwili tej zadumy, niech pokaże twarz swoją! -

przemknęło przez głowę I wyzwanie, - niech coś się stanie. Niech coś się staaanie!

Tosia spuściła oczy, jak głowy pochylenie, ucieczka głowy do lasu, jakby chciała powiedzieć:

- Niechże się pan nie denerwuje, nie trzeba się denerwować. Ja tak sobie gadam, ale życie piękne jest, naprawdę, tylko słuchać trzeba jak ptaki śpiewają, na deszcz, ja to wstaję bardzo z rana, czwarta trzydzieści, to co tam te stosunki między-ludzkie mogą zaszkodzić!...Tyle, że ludzie strasznie chytre są, skąd one takie chytre, no niech pan powi! Żeby pan wiedział, jak Saba przepowiada, że ino kilka osób pod Gubałówką przeżyje. Ja tam śwagra mam, to pana zabiorę, nie martwcie się.

- Oszaleję - I złożył, raczej skłonił swe ciało w pół, tam gdzie stał, po środku kuchni, maleńkiej, ślepej, kuchni w bloku, stali tam pochyleni ku sobie sługa I jego pan, sobie przeznaczeni.

Odtwarzam temat. Być może Lama, Marynarz, Kapryśny Poeta nie byłby skłonny do takiego larum. Lecz ty? Zazdrosny o jakość myśli, o spostrzeżenia estetyczne, ty lękasz się czy w ucho twe nie leją jadu, trucizny gorzkiej tym bardziej im ręką przyjaciół podana, by twoja śmierć stała się przedwczesna, dziś święta, śmierć twa dziś przeklęta? I czas, ważny bohater opowieści czyni cię świeżym, uduchowionym banitą miasta, ojczyzny, gdzie nic nie znaczy odmiana pogody.

- Dzień dobry, Tosiu. Czy pan w domu?

- O, pan Fred, dzień dobry. Sama jestem. Już czwarty dzień. Odkąd tego hrabiego tu przywieźli...

- Jakiego hrabiego? Tosia sobie żartuje!

- Nie żartuję, hrabiego, taki był bielutki jak bułeczka, siedemdziesiąt lat miał, tyle co I ja, mówili, że ze Sto... Kholm.

- I pan z nimi pojechał?

- Nie pojechał, tylko go zawieźli.

- A telefon, jaki tam mają numer telefonu?

- Telefonu nie mają. Pan tylko kazał przeczytać, jakby pan dzwonił, poczekajcie, zaraz wam to przeczytam..."Uniesiony myślą..."

- Niech Tosia pilnuje domu, niech Tosia nie czyta...

- Kiedy mnie ten doberman prawie pogryzł!

- Jaki doberman?! Tracę cierpliwość!

- Ten, co go pan przygarnął z lasu, razem byliśmy w lesie borówki zbierać I jeżyny, I ten doberman właśnie żywota miał dokonać, ale pan go przygarnął, I on tylko w moim łóżku śpi, ma swoje łóżko, ale widać tak przyzwyczajony od małego, trzeba by go tam przykrywać, I on raczej ze mną śpi, aż pan krzyczy, a teraz chciał I mnie pogryść - stara Tosia ton ostrzy coraz to mniej skromnie, mniej staro, jakże ona się tu czuje dobrze!

- Do widzenia, dzięki za pierogi, wyśmienite, matka moja mówiła też o nich z taką rozkoszą, jakby obojętność w sprawach smaku nie istniała. Dobranoc, niech się wyśpi porządnie Tosia, pana nie ma...

- A co to ja wyspana nie jestem!... - tu się wszystko przerwało, połączenie się przerwało hipokryzji.

- La poezi de la hipokrizi oriżinal e kuadrofonik, bo suar - po francusku Tosia z każdym by się dogadała, z matki Rumunki, ojca Górala, Tosia Piękna, co w knajpach pierogi robiła całe życie, z domu Jabłuszko.

"Nie mogliśmy być ani przez chwilę sami, ani przez powietrze, ani przez siebie. Ciszę oswobodziła z męki powiedziana, a nie pomyślana sylaba. Wróć.

- *Czas mój płynie szybko, przypomnij jak ci na imię.*
- *O, cara mia, jakże cierpi ma dusza, me ciało, cara mia!*
- *Jestem wy-ai-ie-no-wa-na.*
- *Piękna, piękna, piękna...!*
- *Wy-swo-bo-dzo-na.*
- *Wracaj!*
- *Dwudziesty wiek, dwudziesty pierwszy wiek, dwudziesty drugi wiek, to trwa aż nadto długo...*
- *Idiotko!*
- ...
- *Matko!*
- ...
- *Wróóóóó!*
- ..."

W domu hrabiego, co więcej - w jego osobistym gabinecie I wiele czasu spędzał na nauce. Zgłębiał podstawy hebrajskiego, jak przez mur brnący cegła po cegle, usuwał spod powiek zaćmę ignorancji, szukał właściwości znaków. Siedem szewa, osiem szemone, dziewięć tesza, dziesięć eszer, a potem ahas, sztajim, szelsz, arbaa, chamesz, od końca do początku. Za każdym razem gdy odnosił sukces choćby najdrobniejszy, poprawnie odmalował wątlą linię płomyków, na papierze głos usłyszał Mojżesza, zawsze wtedy w serce I wlewała radość krople miodu, złoty stawał się od środka. Każdy dzień, każda spędzona nad wokabularzem godzina, stare niemieckie podręczniki, istota tej udręki - wszystko to czyniło zeń coraz bardziej mnicha, mniej poetę. Mimo trudów zanurzał się w przyjemnościach, dobrze u boku kobiet życia skosztować! Gdy płynął, czas mijał wartko, lecz jedna śle zносиła kobieta godziny mężczyzny zamknięcia, imię jej było Krzysztofa; poza wszystkim stronił I od ludzi swoim zwyczajem, rozstawali się w tym czasie po wielokroć. Zawsze wracała zwabiona jego milczeniem, wyblagana, choć czas ten nie dał im rozwikłać żadnej z gnębiących ciało zagadek, dom hrabiego zaludniały istoty znane I nieznanne, arcystarcy I dzieci, które wyły niemal na okrągło, nic nie sprzyjało parze kochanków.

- Jestem pacyfistą, z trudem biegnę wzdłuż płaskich rynienek, gdzie spływa deszczówka w kolorze akwamaryny, mógłbym was powiesić za jaja, kurwy I handlarze piękności tego świata, was coraz więcej, coraz więcej...

Kobieta pragnęła jedynie miłości niecierpliwie wkręcając łydkę pomiędzy jego zaciśnięte kolana.

- Jesteś samotny? Choć, coś ci pokażę!

Tam, gdzie wydało mu się widzieć ciemną obwódkę wokół oczu, mówiąc najprościej strefę największego cienia w bezpośrednim kontakcie z właściwym światłem jej twarzy, tam, gdzie krzyżują się przeciwieństwa, będąc przekonanym, że odkrywa istotną właściwość samego siebie, tam to, to tam zobaczył duchową komnatę. Patrząc w twarz Krzysztofy sam czuł się pełen rzeczy, mniej przymiotników, gołym okiem było widać cechy tej twarzy, poprzecinanej strumieniami światła, jednak okrągłej, bożej.

Bolało patrzeć własne oblicze.

- Mógłbym go otruć, to najprostszy I najtańszy sposób - pomyślał przypatrując się postaci ze szkła. Znienacka w półmroku korytarza łapiąc okruch światła na krawędziach lustra przystanął strapiony wiecznym ze światem nieporozumieniem.

- Boli, choć jestem tak mało świadomym pasji, z jaką świat dziś ozdabia swe ciało, jak więzień bezradny zza krat obserwuję ślady zniszczenia, egzekucję ciała, kopała czasu zamyka w ustach imię moje... Dobry Boże uwierz, najmniejsza nawet myśl we mnie nie powstaje po to jedynie by upiększać ciało, to obraz c a ł e g o Człowieka jest ten, którego szukam ocalenia!

Dni mijają jak godziny. Krzysztofa plecie ślubny wianek. To nic, że jesień bliska porywa żagle. Kantor. Rodczenko. Matisse. Żadnych przecinków. Wyłącznie ekscentryczny szacunek.

ROZDZIAŁ VII

- Przyszedłem tu nie po to by kraść - I stał na skraju żwirowej ścieżki prowadzącej do krzywego, zapadniętego domu brata. Każdy krok wstecz musiałby sam przed sobą nazwać ucieczką, bliskość dobrze znanych ścian, zapach łuszczonego się w wilgoci tynku, jak pułapka wysyłały infradźwięki ostrzeżenia.

- Jestem tak blisko, że mogę zadać ci pytanie, chcę zadać ci pytanie: czy moja matka żyje? Czy to ona zamknęła teraz drzwi do ogrodu?

- Cóżżeś uczynił z biedną swoją głową, bracie?! Chodź, wstąp do środka, inaczej zjedzą cię komary, matka jeszcze nie śpi, wejdz na herbatę... - słyszał z tarasu wołanie. W mrok ogrodu Fred zagłębić się nie odważył.

I zniechęcony cicho zszedł ze skrzypiącej ścieżki I oddalił się skąd przyszedł, tam, gdzie najzupełniej prawdziwe trotuary, bramy miasta, dalekobieżne autobusy mijają ogołocone z liści kikuty drzew na poligonach; aby tu przybyć zmierzchem droga przez pola, zapach nowiu, wypatrywane światła skomlących psów, głos znajomy człowieka.

- Absurd, by nie przestąpić progu, - przyszło mu do głowy już w chwili, gdy oddalał się od ogrodzenia, za plecami figurka czarna Freda w luminacji prawdziwego zachodu; przyjął kolejny akt ten rebelii jak pochodnia wypalony, zwęglony.

- Po coś tam jechał, węglarzu? - to Krzysztofa pyta obmywając mu kark z nieczystości, w każdy piątek oblucja; w środy - pokuta chleba, wody I wstrzeźliwości.

- To mój brat, jednak spróbuj zrozumieć. Ukradł wspólną matkę, zagarnął jej uczucia dla siebie, pod pozorem troski zabija I moje uczucia delikatne, co mogę począć? Patrzyłem dziś w nocy z daleka, przyznam, że był to sen, jak zamyka drzwi od ogrodu bez jednego spojrzenia w moją stronę... "A gdzie są twoje kuleczki, chłopczyku?" - zapytała po chwili. " Dawno nie widziałam, żebyś się bawił kuleczkami" - twarz austriackiej księżniczki z bardzo bliska, z bardzo daleka. Lecz ze wspomnień ograniczających wolność tego snu odzyskiwałem spokój. Wyobrażam sobie spokój pilotów helikopterów, terrorystów zdeterminowanych, to też spokój! Ten, o którym mówię nie był to jednak spokój orgii, inkarnacji wszystkiego, raczej spokój niczego, można by pomyśleć, *w ogniu nie ma nic specjalnego, trzeba tylko do niego dorzucać*. Czy rozumiesz? Odzyskiwałem wraz ze spokojem rytm powonienia, czułem spod lasu śwąd dymiących liści, tak naiwnie wśród banału śnione uczucie życia prawdziwego otwierało duszę mą ku radości dawno nie zaznanej łaski.

- Pokochaj zanim zrozumiesz, węglarzu. Polskę śniłeś tej nocy.

"Nagle rozstali się pewnego dnia. To gospodarz zapowiedział raptem przy kolacji z samego rana transport. Do Szwecji z końmi wyrusza pomocników pięciu. Jeden z miasta, Jasiiek, Kazek, Piotrek, no I ja. Nikt tam nie myśli o szczęściu. Jedziemy każdy za swoim - tamten z miasta, Kazek z gór, Jasiiek krzywo patrzy, Piotrek pilnuje obejścia z końmi, no I ja.

Piszę myśli.

I - żyję.

Obumierający artyści

Przeklęli korzyści,

Zza krzaka wybiegli -

Wszystkich przelekli.

*Hop cup - nie ma nic,
Doświadczenie uczy
Jak milczeć -
Nie boję się krzyczeć.
To noc.*

*Coraz p o w s z e c h n i e j decyduję się na darowanie molowi życia,
w y b a c z a ć znaczy tu władzę niemal absolutną. Jestem ubogi, a jednak
wciąż mam szaty do oddania, nieskończenie długi welon, który ciała mego
nagości odstąpić nie pozwala. Z duszy mej n o w o n a r o d z o n e j tę wam
historię opowiadam:*

*"Dawno, dawno temu żył dwór papug pośród rajskich owoców I darów
natury na pewnej wyspie położonej pośrodku Atlantyku. Zimny to Ocean.
Wyspę po dziś dzień zwą Nongchum, choć na każdej mapie jej nie
znajdziecie. Dwór złożony z 685 strojnych ptaków otaczał bezpośrednio
samego władcę, Był on zrobiony ze szczerego złota I miał pozór rybaka
zrzucającego sieci na martwe, lane strugą złota ryby. Nudno królowi papug
upływał czas pośród ptaków, z których żaden nie nucił pieśni. To zawsze,
każdego dnia przypominało pik-nik, a najbardziej podobne było do więzienia -
papugi powtarzały jednym głosem zaklęcia, przestrogi I beneficjały, jakie
spływały z dworu ścisłego jej magnificencji.*

*- To ma pozór błazenady! Czy muszą powtarzać po nas, Jej Eminencji
każde zawołanie?! Oto mówię znieścacka K o s z a ł k i O p a ł k i a zaraz
potem słyszę setki głosów wyczyniających językiem tę brednię,
zwartoszczękowe I przedniojęzykowe zgłoski zmieniają się na arsenały. A
tymczasem ucho me nie słyszy, by którekolwiek z was mówiło własnym
głosem!*

*Tak pomstując przekrzywił głowę to na lewą to na prawą stronę król
papug - z oczywistych względów tylko on pozwalał sobie na niedoskonałość
indywidualności. Siedział przy tym na najwyższym konarze najwyższego
drzewa, zewsząd zaś otaczały go widoki korzystne.*

*- Cóż za perspektywa tymczasem, horyzonty oceanu! Oczu mych
mało, by dojrzeć kres dodających się pejzaży, wielka woda kryje tyle zawiłych
niespodzianek! A wy, ptasia zgrajo, zamiast rachunku szukać w sobie
beczycie jak kozy, zamiast zamilknąć po to jedynie, by mieć obserwację
środka dylematu, by go użyć - zliczacie dylematy na zewnątrz, by uznać na
końcu błąd Stworzenia za prawdopodobny. Samo Stworzenie nic was nie
obchodzi!*

*Licząc na zrozumienie per Espiritu Sancto, choć nic takiego nie
nastąpiło, podczas gdy pospolite papugi wodziły wzrokiem otępiąłym to na
lewą to na prawą stronę, umarł władca tej wyspy oddaliwszy się od stada na
wieczności odrobinę. Ustąpił miejsca zdegenerowanemu dziedzicowi, lecz
Ocean wiedział co czyni."*

*Czy to właśnie chciałeś opowiedzieć, Senor Blanco? Aniele, cudów
strażniku doskonały, popędź umysł Człowieka rozważony, niech śpiewa
inaczej. Wiem z całą pewnością, że od dnia, kiedy mnie miłość twa wyleczy
dzieli nas dni nie więcej niż dwieście, trzysta...!*

"Może być kwestią ignorancji nie znać cierpienia smaku, jakie czynisz, lecz stój, jeśli dostrzegasz zniszczenia cierń w śladzie twych stóp, Człowieku nie dopuść nigdy, by brata żal uciekał spod twych kół, by strach, że zapomniałeś co ci przeznaczają zwycięska moc dobiegał uszu twych w tętentcie kopyt, dziś gdy wojownik zamienia serce z tchórzem. Wszędzie tak samo. W galaktyce całej."

Kobieta czytała skrycie choć ją uprzedzał nie jeden raz, by oczy obce nie raziły ledwo co narodzonych słów. Prosił, by nie czytała wersów w nocy, gdy ciężko spał lecząc zwiędniętą głowę; w domu hrabiego się nie słyszało wycia przygodnych syren.

- Albo będzie tak jak ja mówię, albo w ogóle nie będzie! - krzyczał przy lada okazji trzymając w dłoniach twarz samicy wypełniającą los nienowy przyrody, raz piękną, a raz nie. - Dziewczyno! Błagam cię, zatrzymaj wojnę między nami!

Lecz zaufania tego nie było, wyszła trzaskając drzwiami, jak zawsze u progu nocy. Tak zostawiony I Ignął ściśle do jednego tylko miejsca w tym dziwnie przeludnionym domu, zakamarka pomiędzy bibliotecznymi szafami, gdzie wisiał w zapomnieniu wyszywany jedwabiem japoński landszaft sprzed milionów godzin.

- Zadać pytań tyle! To prawda, kwestii niepokojących jest tysiąc, a kredowa aleja tylko jedna. Wiedzie przez łagodne zboczce doskonale zagospodarowane ogrodem, prowadzi wzdłuż obronnego muru, u stóp fortyfikacji, I dalej, już za świątynią na powrót pnie się ku górze, by zakończyć swój bieg z powrotem u bramy. Niewidzialni pomocnicy włożyli wiele pracy w harmonijny I doskonale wyobrażony ustrój tego miejsca - tu niczym w prawcowni rzeźbiarza ujęto naturze jej piękno pospolite po to, by powstała forma doskonała - pigwy, sekwoje, niezliczone gatunki krzewów I płachty kwieciste zbocza, amarantowe bryły skał, amarantowe bryły murów, marzenie architekta spełnione, by taras spadał, poskromiciel morza, choć nie widać tu, jak okiem sięgnąć nic oprócz gór! A jednak uważny przybysz wypatrzy drobne sylwetki rybitw.

Tak kontemplując nie pozwalał sobie na najdrobniejszy nawet szelest. Dzięki nowym zdolnościom motorycznym, jakie odkrywał wraz z wypływem energii życiowej, wysysany przez stany zewnętrzne, zrozumiał, patrząc na przycupniętego w bezruchu robaka, obserwując naturę pojął jak bronić się trzeba przed ruchem materii. Toteż począwszy od dnia, kiedy dokonał tego odkrycia uczył się pilnie zastygać tak, by mijające go postacie - ludzi, zwierząt, zabawek mechanicznych, wszelkiego stworzenia uznawały materialną postać Człowieka za strukturę transparentną, ściśle mówiąc - żadką.

- Oto, - pomyślał pewnego razu - wielka rzecz! Sam jeden, udając życie, nie tylko je udaję, lecz intensywnie ulepszam jego jakość, już nie tylko rodzę się, co ważne - niedoskonały - lecz dalej szukam mego pochodzenia. O ile kobieta, której zawierzę tę wielką tajemnicę słów mych by nie zrozumiała - odejść musi. Lecz przysięgam, gdy tylko znajdę drogę, ona mnie poprowadzi, niech więc kobieta czeka wojownika w cierpieniu, jeśli czeka jego!

Innym znów razem, pod wpływem łez jej lub swoich, a gdy natchnienie go opuściło, skupiony w ciele myślał po prostu:

- Przeobraziłem się w kogoś czystego I sentymentalnego. Uleczyłem najbardziej bolesne rany duszy mojej, któż wie czy to one właśnie przyniosły mi najwięcej szkody! W domu hrabiego zyskałem spokój tak bardzo potrzebny memu piarstwu. Lecz nie znalazłem świątyni, prócz tej jednej, gdzie mógłbym oddać cześć Panu. Ją niosę zawsze z sobą....

Rzeczy najprostsze mnie przerażają. A to od nich właśnie rzeczy najwięcej pochodzi. Gdyby tak, ach, gdyby mieć pióro białe prozy! Dążąc do jasności znaleźć początek tej nici, światła początek prosty.

- Ta ja mówię, - Fred drze w słuchawce coraz więcej głosu, - słyszy mnie? To ja do Tosi mówię, jaaa! G d z i e j e s t p a n ?
- A pojechali, będzie już jakiś czas. Z końmi.
- Kto, znaczy - p o j e c h a l i ?
- No, pojechali, mówię, pojechali, mój Kazek zabrał się z nimi.
- Cholera... - tyle się jeszcze dało usłyszeć z rozmowy, w myślach wyzwał kobietę błogą od głupich bab; źli ze złymi, dobzi z dobrymi...

"Nikt z nas nie był takim idiotą, żeby podróży się bać. Ja narzekałem na swój los od początku, dziewczyny mnie nie kochały, pieniądze się mnie nie trzymały, co miałem, dawno poszło. Konie sprzedawszy za uzgodnioną z Gospodarzem cenę postanowiłem zostać tam, gdzie najdalej dojadę i ożenić się z pierwszą napotkaną kobietą, która zapewni mi schronienie i opiekę. O tak, w tym kraju mogło to być nawet prostsze niż gdziekolwiek indziej! Kobiety szanowały mężczyzn, a nawet całkowicie ich nie szanowały, używając się z nimi wzajemnie jak marionetki. Pomyślałem, że bez ciągłej odmiany nie byłoby cywilizacji, mego złotopiórego syna chciałem urodzić z brzucha nie muchy brunatnej, lecz złotej morelki.

Pierwsza napotkana kobieta była Żydówką. Nazywała się Ester i tkła ozdobne dywany na zamówienia bogatych żydowskich domów. Ester była artystką. Dom, w którym z nią mieszkałem nie mógł się równać z żadnym innym domem. Nie zamierzam go opisywać, zbyt wiele uwagi zostało mu już poświęcone, zajmuje w głowie mej i miejsce i czas, których wam oszczędzę. Lecz do naszego ślubu nigdy nie doszło. Dziewczyna zmięła ślubny wianek, gdy minął czas. A ja pojechałem dalej."

Od czekania masz już, Człowieku zwiędnięte dłonie, czy powieki. Niechże ci się przypatrzę, owoc życia jeszcze nie wydany, jeszcze nie wiesz, że bez owoców drzewo traci sens! Leżysz na wznak, brzuch do góry wypięty, czekasz na powrót losu. On, masz rację, znaczy więcej niż tykanie zegara. Psyt...! Już nadchodzi...

Dzień, w którym ogarnął i smutek tak wielki, że mógłby przysiąc - wszystko straci sens - jeszcze nie nadchodził. Dziś Bożego Ciała przyjemna od rana ucztą przygotowywana, goście jechali w południe od strony miasta, ozdobne limuzyny, serdeczne gesty, dzieci, przygód odrobiny się spodziewając domownicy wylegli chciwi.

- Obmywam wzrokiem w szybach przykurzonych pasażerów odbicia lustrzane, tak blisko mam na wyciągnięcie ręki Człowieka, żeby coś powiedzieć wystarczy usta oprzeć na niebieskiej fali, nieba, żeby być słyszonym mógłbym wam uchylić. A tyle do pwo-ie-dze-niea! - I speszony zamikł.

- Czy nie słyszycie szu...m...rza?! - krzyczy gospodarz zanim dojechali.

- Morza czy zboża? - pytają tnąc na swej drodze ciężkimi resorami niewinne gniazda przepiórek.

- A, fe, - Krzysztofa odwraca wzrok z niesmakiem - wolę już jak nikt nie przyjeżdża.

Unosi się kołaczące pole brunatnych gród ziemi czy ptaków, ponad kłosami lepki same suną baldachimi samochodów, pojęcie się pomieszało procesji z pojęciem przestrzeni koniecznej, co to znaczy to się dopiero okaże. Długo potem dzieci biegały wzdłuż wygniecionej w ogromnym łanie autostrady, z której nie zrobisz chleba ani odrobiny tego roku.

ROZDZIAŁ VIII

- Skończyłam opowiadać, a ty wciąż nie wiesz o czym!
- Mówiąc krótko, sytuacja nasza tu, dokładnie tu I tu właśnie nie daje poecie satysfakcji, to chcesz powiedzieć?
- Tak, jedźmy stąd!
- Strzeż się.... Będąc zeszłego roku w górach Kantabelli, wiesz, że staram się tam bywać r e g u l a r n i e z uwagi na stan moich nerwów, a zatem zeszłego roku spotkałem na trasie wędrówki grzybowej rzeźbiarza Hildenmeira, znasz go z "Opowieści miejskich". Zapytał: "Bracie, czy widziałeś już szubiennicę, tam pod lasem z południowego stoku? J a t o b i e j ą pokażę."

Domyślasz się mego zdziwienia, myślałem nawet, że pomyliłem słowo z dialektu z jakimś słowem niemieckim, a jednak od południowej strony - musisz wiedzieć, że był bardzo upalny czerwiec, słońce zdało się dosłownie wypalać krzewy jałowców, a przecież to dopiero początek lata, a więc - jak mówię - od strony południowej roztaczał się widok wyschniętych habitów, przykucniętych krzaków ze rdzy czy ze spiżu, na piasku niezwykajnym żyznej okolicy, wbity w niebo jak maszt chorągwi, bardziej jeszcze pirackiego statku sterczał kikut nadłamany szubiennicy. Przysięgłbym teraz, choć słowa Hildenmeira ostatnie długo jeszcze w uszach słyszałem "Remember!", że spotkanie nasze wynikiem było halucynacji. Szukałem go potem w tych stronach całymi dniami, przemierzałem polany tnące z wysiłkiem zbocza niezbyt strome lecz I niezbyt monotonne. Na próżno. Mało kto słyszał zaledwie jego imię. Był tu postacią na w pół mitologiczną, jeden czy drugi ozdabiał wytchnioną chwilę przypadkowej w górach rozmowy słowami podziwu dla artystycznej pracy Hildenbrandta, myśląc tymczasem różnych ludzi I różną pracę. Nigdy już go później nie spotkałem, lecz po dziś dzień szubiennic pilnie się wystrzegam... A teraz jedź, jeśli starcza ci odwagi...

- Dzień wolności drugi. Raduj się, skoro potrafisz.
- Podziwiając widoki świata naturalnego zastanawia się głowa już zaledwie nad samą sobą, sztucznych problemów nie widząc. Strzeżże mnie dalej od wszystkiego złego, Dobry!
- A co!? Gdy stanąłeś u wejścia do Wielkiego Namiotu, spytałeś czy tu już Dom Modlitwy się zaczyna - co ci odpowiedziano?! Wiara jest kwestią wolności - odpowiedziano ci. Oto tajemnica.
- Ąpiewacy wolni pograją I pojedą dalej. Czi ki cz iki czi... O to chodzi?
- Muzyka jest brzmienie. J a k a n i e c o. Remember!
- J a k b a r d z o z m n i e j s z a s i ę l i c z b a A p o s t o ł ó w z a s p r a w ę E s k a r i o k i, choć to właśnie jego świadectwo najpełniejsze? Apostołów już tylko jedenastu! I ten, który złamał misji nakaz - "darmo dawaj, bo darmo dostałeś". Lecz Ty powinienes wiedzieć - czy który z nich malował obrazy? Kościół sztuki nie szuka! Sztuki używa jak ornamentu! Na znak swego istnienia! Watykańskich zbiorów doczesność jest Kościołowi dana...
- ... Co dla wielu znaczy wieczne trwanie wiary...
I łapał balony powietrza. - Zaproszenie z dawna w mózgu oczekiwane jest, - myślał - to nic, że do zobaczenia nie ma nic. Odróżnianie zamkniętego od otwartego, odróżnianie złego od dobrego, powoli także dobrego zapładnianie - wszystko to nie wydaje się czynnością płochą. Wszystko to się staje. Morze odchodzi - zaledwie się staje. Może I po nim śladu nie ma, lecz wielki Leonardo wydobyl z tej brzydoty piękno. Tak I T y n a g l e s t a j e s z s i ę p i ę k n y. Przykrótki tors harmonizuje doskonale z ekspresją, - myślał dalej I

coraz bardziej się pocąc - a zatem jak Mona Lisa oparty na żywym tle miasta, nie istniejesz w czasie, odwieczny.

- Nie zapomnij o tym, by nauczać... - śmiał się Tamten.

W końcu życie w domu hrabiego sprawiło, że stał się gburowaty I jako ratunek zamierzył zdobyć pracę, najskromniejsze choćby podjąć działanie. Powieść, mimo wielkich planów nie posuwała się do przodu. Zagrzebawszy się w problemy bohatera I stracił intuicję I - o ile go miał - rozsądek. Nie był już w stanie określić tematu powieści, historii, zgubił bohatera. W tej sytuacji tłumaczenie cudzych słów wydawało się rozwiązaniem najlepszym, najwytworniejszym. Pewnego dnia udał się na pocztę w S, zaopatrzony w udarty z własnej książki kawałek papieru, na którym wykazał na sposób dobitny mizერი swojego istnienia - osiem zaledwie nazwisk, trzy numery telefonów, cały realizm Człowieka!

- Bodaj byś pękł, idioto, - usłyszał w słuchawce znajomy głos na otrzeźwienie- wolę się zes...ać niż dać ci coś do roboty!

- Poezja w nim, prawda w nim - Anioł pomyślał mocno zadowolony.

- A zatem stoję tu, w udartym miejscu tej planety I poza sobą nie widzę nikogo. Otrzymuję doczesność ze słowa pisanego, z p r z e k a z u , lecz w zamian za wysiłek by to pojąć niczego mi się nie oszczędza. Być może inny ktoś na moim miejscu zobaczyłby wszystko to inaczej.

- Dobrze, abyś sobie przypomniał, Człowieku jak blisko źródeł byłeś dzisiaj rano, stałeś pod lipą żywą naprawdę na środku cmentarza...

- To był cmentarz? K i e r k u t?! Sam piach I piach.

Tu wzruszył ramionami, jego tik nerwowy, co urzędniczka przyjęła - "sam przecież Człowiek do siebie nie gada" - odgonił Anioła, co gada.

- Ma pani książkę telefoniczną?

- Mam, proszę, - I dziewczyna dobra bez wahania wcisnęła grubą, całkiem nową księgę w szparę pod staromodną szybą oddzielającą urząd od petentów.

- A czego pan szuka, może pomóc?

- Nie bez żenady szukam pracy jako tłumacz, - tu oczy dziewczyny dobrej szeroko rozwarte lwie paszczki.

- To znaczy z jakiegoś języka pan tłumaczy, prawda? - upewniła się jeszcze.

- Z hebrajskiego.

- Z hebrajskiego? - rozśmieszyli się obydwójce - to znaczy z żydowskiego, prawda?

- Z żydowskiego.

- Niech pan zobaczy pod muzea. O! O! O! Przepraszam! - złapała się za usta, o delikatnym sercu, - lepiej pod linie lotnicze. Linie I biura podróży. Niech pan zobaczy - pod ambasady..., może pod restauracje? - dodała po chwili niepewnie - ... I pod statystów.

"Który to raz zawieszam wzrok na styku ziemi I nieba, tam gdzie cienka linia horyzontu ciemnieje oceanem ciepłotkwiczym? Muszlami toczę eliksir ten stworzenia I w wyobraźni sjęstę przepędzam licząc raki. Tobie poświęcam pustkę w mojej głowie, nalewasz do niej jak do oceanu, niech w niej też ryby płytkoskrzydłe się zalęgą!..."

- Wiesz ty co? - zaciąga mowę zwięzłą po swojemu - Nic nie rozumiem. Z tego wszystkiego zrozumiałam tylko raki.

- Nie rozumiesz...? - I szczerze zafrasowany podciąga brodę jeszcze wyżej, ku lampie, - ale patrząc na same dźwięki..., na brzmienie - to ci się podoba?

- Na brzmienie to tak, tak, - dziewczyna dobra jak zawsze, a zawsze trwa już kilka dni, zawsze w małym domku, tym domku urzędniczek pocztowej, mniejszym niż zwykle wieczorami, bo spotykają się tu wieczorami, w małym łóżku, przy małym, krzywym oknie, leżąc na boku zwykle tym samym, I odczytuje, ufa, że słowo dziewczyny dobrej nie przelęka.

- A teraz co mi powiesz?

- Uhm...Na razie wszystko co chcesz.

- Dziewczyno mądra.

Pierwsza przychodzi do ciebie Poezja, Człowieku. Tej się nie lękaj. To są aniołowie lekcy jak sokół pióra na pełnej powietrza fali; orszak Poezji trudny to duchy dobre dźwięków, sam wiesz. A słowo przychodzi potem, gdy się już oddalisz od dźwięków.

- Czekam tylko, jak zamilkną - wracam.

- Gdzie wracasz, Pietro?

- Ty nie znasz syren, gdy wyją - milkną oceany. Świętokrzyska, Marszałkowska, Aleje, przepastne koryta, którymi leją zimny ogień miasta. Dlaczego właśnie P i e t r o?

- Stoisz w konturze światła cieniem obramowany jak San Pietro...

- A ty skąd wiesz, który to Pietro?!

- N o m e n k l a t u r a. Takie rzeczy się poznaje!

- Do zobaczenia, do wtorku...

- " Długi Dzień Wtorek".

- O osiemnastej,

- Która to? Ah, wieczorem! - westchnęła.

- Muzo...! Ta postać! Ten blask oczu! Nie jestem zbyt konwencjonalny?

- Aż nadto. Pardon, o co chodzi?

- Czy nudzę?

- Dziś jeszcze muszę lepić znaczki. Pożegnaliśmy się - stali na placu zabaw, wiejskim, tutejszym, oparci o jedyne dwie drabinki, jak dwa kominy prążące się do Nieba. Po co pytać więcej?

- Dokąd ta ścieżka prowadzi?

- Do Boga.

- Słucham?

- Słuchaj.

- Kocham?

- Kochaj.

- Czy już?

- Proporcje są ustalone.

- Poczekam dni kilka.

- Wielka szkoda. Jedna kropla Świętej Krwi, gdy spadła na miasto cały świat mógł zostać zbawionym! A ty tej jednej krótkiej chwili czekając pozbawiasz świat nadziei!

- Nie zrozumiałem ani słowa...

- To nic, to nic, to nic...

"Staliśmy, jak to się mówi w tej miłości skapani, a żadna inna myśl nie przybiegała do nas, tylko jedna - ocalić uczucie delikatne. Rok upałów,

wylęgarnia badyli I - przecież nie przez przypadek - nasze spotkanie dwóch miłości gorejących poza baldachimem chłodu, jakim czyniło ludzi miasto całe. Dobrze choć, że nazwali nas Indianie, po tym łatwo było się rozpoznać - Samotny, który Jedzie Boso I Klacz Urodzona Wiosną. Cóż za spotkanie! Mogliśmy wydać na świat tysiąc żrebaków. Z miłości narodził się nasz syn pierworodny Lampart Król I jego siostra . Tak zostało to już zapisane. Na wieki wieków. Elke."

Czekam. A gdy wyjmiesz z mego oka zaklęty kamień zgody w ostry cień, który boli I doskwiera sercu - wtedy - choćbyś oddaliła ciało - zostanie we mnie uczucia cień I proszę...nie pozwij mnie na to płacziwe (mokra, mgła, pulsacja), nie pozwij mnie na to płacziwe s p o t k a n k o. Uśmiechaj się jak wprzódy, duszo błoga artistiquement, conhelacion, thy truth - co jak przewodnik odbiera sygnał cały... to już, to już, to już!!!

- Zadowolony?

- Nie wierzyłem, że mnie poprowadzisz!

- O, tak! Jesień zapala lampy. Trzeba wracać bezpiecznie do domu.

Podziękuj Panu - Ten cię prowadzi! Ecce Agnus Dei, pisarzu!

- To jest właśnie On którego pokochałem, To jest właśnie On którego wybrałem, którego pragnę ze wszystkich sił, Mój Pan.

ROZDZIAŁ IX

- Poddawanie się tej mimikrze byłoby ze wszech miar szkodliwe, - pomyślał w końcu, po roku, dwóch medytacji zapachów i dźwięków, zwykłości, którą odnalazł w świątyni. - Posuwam się dalej, to prawda, nie jestem dziś ten, co na początku, - tłumaczył gestykując zapamiętałe dziewczynie dobrej, - a jednak wierzę i żyję nadzieją tej wiary. Miłości.

- To znaczy, że jej nie zaznałeś. Miłości. Lecz kiedy żeś się spóźnił?

- Koniec końców, spóźniony jako osesek, dążę dziś, by świat pokochać takim jakim jest.

- Takim niedbałym?

- Skądże! On został dobrze wymyślony i solidnie wykonany. Po prostu do s k o n a l e . To ja mam kłopot...

- Czekam, mów dalej, Książę.

- Kpisz, nie wiem czemu, a ja niedokończony czuję, że brakującą część mnie

d o b r e g o zajmuje obca jakaś odnoga, sztuczna stopa, jakby zło we mnie było kiepską imitacją dobra.

- Chcesz odejść?

- Cóż mówisz, kobieto! Chcę uciec! Tak, to prawda! Lecz świeże korzenie, najlepsze kęski zapuściłem tu, na tej poczcie, w twoim pokoju, t y mogłabyś to nazwać

m i ł o ś c i ą. Gdybyś u m i a ł a powiedzieć coś tak szlachetnego!

- Zmierzasz do awantury. A w a n t u r y . I to dziś, gdy Kocham więcej niż kiedykolwiek przedtem!

- Mógłbym ci opowiedzieć historię o tamburynie...

- A cóż to takiego t a m b u r y n ?

- Posłuchaj, to do ciebie.... Historia Żółtego Tamburyna...

"Kiejstut, Perkunas, Gიტcine - tak nazywają się bohaterowie tej opowieści. Kto wie ten wie. Widywano ich jeszcze pięćset lat temu na kresach Europy, aż po w kolorze nieba burzą zaciągniętego ponure wody Bałtyku.

Żył prosty Człowiek, na poły niewolnik, na poły wolny rymarz, oracz, syn Kiejstuta Witas, pięćsettyśmiący syn Perkunasa, Wszechwładny tych ziem, całego, można powiedzieć, k r ó l e s t w a . Perkunas nie miał odwagi odmawiać symbolicznego usynawiania wszystkich pierwotnych w imieniu Słońca, Nieba i Ziemi. Skoro jednak Pomocnicy donieśli mu, że niejaka Gიტcine, zapłodniona przez Kiejstuta wyda na świat pięćsettyśmiący niemowlę płci męskiej stało się jasne, że tak czy inaczej sprawa nie przejdzie bez echa.

- Trzeba to uczcić, - powiedział pierwszy Zaufany.

- Niech i tak będzie, - wydał wyrok po namyśle Perkunas, - dajcie mu żółty tamburyn.

Na tym sprawa wydawała się zamknięta. Nie minął świt, a już mały, skromnie strojony tamburyn ze skóry jelenia leżał u wezłowia przy którym stara Gიტcine karmiła niemowlę. A trzeba powiedzieć, że miała ze sto i więcej lat, czemu się dziwić nie należy skoro wkrótce potem bez westchnienia oddała duszę swą skąd przychodzi jaźń..."

- Umarła ?

- Nie przerywaj, - skarcił dziewczynę - ...umarła.

- A co z dzieckiem?

- M o j a... - I westchnął z rozczuleniem, - Niekoniecznie musisz się tego dowiedzieć dziś właśnie. Czas układać się do snu, - po namyśle dodał, - ... moja królewno.

Od chwili tej przez dni czterdzieści zachowali post milczenia I zgody. Wtedy dopiero, świtem wstając I usłyszał swój głos...

" Dziecko nie umarło. Żył dalej puszczając w niepamięć z każdym dniem bardziej ostateczną dzień narodzin światła, którym dworscy Perkunasa oświetlali skromne sklepienie chaty, by zobaczyć czy żyje pięćsettyśięczny obywatel miasta. Później, gdy już mieszkał a la urbana pośród innych obywateli w slamsach trudniąc się rymarstwem, błąkał się po Witasa głowie żółty rytm bębena, któremu poddawał się, nie poddawał, poddawał... niegroźna zabawka, tajemnica przed żoną grubą i uśmiechniętą - "Garnek Przepyszny"! "Złota Sałata"! "Pomidorów pełna Spizarnia " - żona taka! Ona wiedziała instynktem swoim, który jej pomagał, że świętej męża głowie niezależna fala, werbel tylko żyć pozwala.

Pewnej nocy zbudzili się małżonkowie. Na Niebie ukazał się Znak Wielki Pięcioramienny, jakiego oczy ludzkie nie widziały, I zbliżył się do ludzi, I zagrały chóry trąb i orkiestra ludzkich uszu zaintonowała tamburyna dźwięk z głowy Witasa.

H a r m o n i a czyni cudem trud Bożego Świata ... Co było do opowiedzenia."

Dziewczyna płakała.

I wreszcie wyjechał! Opuścił błogie strony kraju traktem kolejowym. Wkrótce potem oparty o przepiękną bladolicą kolumnę zapalał się jak baldachim różowy, tak bardzo kęsy znikającego za świerkami słońca prześwieślały cień Człowieka. Byli we czworo, jedna tylko kobieta, subtelne figury zen.

- Ćma, - pomyślał na jej widok w pierwszej chwili I nie kwapił się by podać rękę złotej postaci. Jej uśmiech rozświetlał wieczór jak eleganckie przyjęcie.

- Czy nie uważasz, tyle lat się znamy! - mówił pierwszy głos - że zbyt mało

planowanel?
d o ś w i a d c z a s z anarchii? Przynajmniej wobec tego co było

- Anarchia się skończyła, - łagodny głos drugi prawie szeptem powie. I ciągnąc fajkę, - O, to jest anarchia...

- Może otworzymy butelkę porto z Portugalii? - proponuje jej głos, - I zaparzemy kawę?

- Chętnie, chętnie, - pierwszy głos - co wy na to?

- Zostaję przy uiski, - I wychodzi do toalety. Brząkając się po zapętlonym korytarzu poczuje w jednej chwili chęć potężną, by ucałować próg tego domostwa, gdzie przyjaciele czekali.

- Muszę wrócić do nich jak najprędzej, - liczy z irytacją ostatnie krople moczu, - jak to było?... choćbyś strząsał dwa tygodnie, zawsze kropla spadnie w spodnie, - wyrwało mu się chwilę później na werandzie, a oni roześmieli się naprawdę, głos kobiety jak fontanna na dworze sułtana.

- A ty, Pawle, pozwól spytać, jak brzmi teraz twoje imię?

- Augustyn.

- Syn Moniki?

- Ten sam. Stał się moim patronem, bym umiłował prawdę I porządek.

- Czy wiedza to więcej niż wiara?

- Prawda I porządek razem są i nie wykluczają pełni życia

...uzupełniają, to tak, owszem, z tym się należy zgodzić.

- Kawa, kochani....

Wieczory były już chłodne, zbyt chłodne nawet by podziwiać góry, ale uparcie siedzieli w kurtkach jak reklama miszlena, opasłe bałwanki, bez twarzy korpusy rozciągnięte cienia, skrócone.

I poczuł proporcję tego miejsca przypadkiem w ogromnym, rozłożonym na werandę salonie. Opuścił towarzystwo głośniejszym niż zwykle stukając prawą stopą, o czym się nigdy przy nim nie mówiło, tą co niedomaga, bezpieczny jak tu nie był nigdy nawet sam przed sobą...

- Paweł mnich, Piotr obywatel, a ja erenita... Czy to znaczy, że wystarczy dla wszystkich j a k i e g o ś życia? - I pomyślał.

- Każdy jest sługą swego cienia. Odwagi w sferze prawdy, przyjacielu! Odwrócił się skąd doszedł go głos tak wyraźny, jakiego przedtem nie słyszał w rozmowie, głos nowy niewidocznego suflera.

- Taaak? Kto mówi? Nie dosłyszałem pańskich słów!

Teraz wyraźniej dostrzegł rysy twarzy mężczyzny na fotografii, pewnie gospodarza, jakby to jego padła kwestia.

- To ty mówiłeś, cieniu? - I zaśmiał się nie po raz pierwszy tego wieczoru.

- Czyj portret wisi w salonie? - pyta Ómę przy pierwszym spotkaniu.

- Mego ojca, fotografia Schelberga, lata trzydzieste...

- Wzrok ma tak surowy idealnie... był pisarzem? Lekarzem?

Inżynierem?

- Nie chcę o tym mówić wcale.

Śmiało cisza zapada na werandzie. Patrzą. Popod górąmi niebo tarł się z chmurą, co skacze do oczu gwiazd I z zamętu nów, panegiryków największy przyjaciel I zielonych tokajów nową opowieść zaczyna.

- Z Oceanii butelka wina!

- Czyżby częstowali nas tu afrodyzjakami ?

- Afro - dyz - jak - to - rozumieć? - I zawsze on z takimi pytaniami!

- Ty jako erenita powinieneś tu widzieć paliwo astralne, - głos

Augustyna.

- Panowie, pogodzę was, przyjęcia tego luksus I poezja cała.... wypić to wino z konchy, - głos Ómy.

- Ty, jako kaznodzieja, Augustynie, nie powinieneś....

- Ależ, nie jestem kaznodzieją! Wybacz, lecz to wymaga natychmiastowego sprostowania, jestem skromnym sługą, filozofem...

- Gdybym chciał się jednak wypowiedzieć...?

- Nie mam sakramentów, nie mogę....

- Lecz to jest kwestia chwili, bracie, wysłuchaj spowiedzi...!

- Nie mogę!

- Zrób to!

- To będzie spowiedź powszechna. Sakramentu udzielić ci mogą wszyscy obecni. Czy tego chcesz?

- W Imię Ojca I Syna I Ducha Świętego Amen Spowiadam się Bogu Wszzechmogącemu I Wam Bracia I Siostry że Bardzo Zgrzeszyłem Myślą Mową Uczynkiem Moja Wina Moja Wina Moja Bardzo Wielka Wina... - suchość w ustach zatrzymywała słowa wewnątrz I ponad miarę - Zaniedbałem Wszystkiego Chleba Naszego Powszedniego.... - zawiesił głos w ciszy, co jemu samemu wydało się żartem, sakrament pokuty dziś śmiać się do woli, lecz suche usta.

- Dobranoc wam wszystkim, - jej głos podniósł się znad fotela, - jutro przy śniadaniu opowiem wam jak nasz dziadek zamiast barana upiekł psa.

Gdy odeszła we dwóch zapalili lampę.

Słońko, co mu nocy nie żał znajdzie tam ino mnicha, tako sie po tym pospali jako te dzangle w łódeckach. Hej.

ROZDZIAŁ X

Otworzył oko w porze świtu, wcześniej niż zwykle, zaraz potem drugie, świtem powieki pewniejsze, gdy nie razi ich blask nadmierny, dni, godziny z wolna płyną o świcie, szybciej o zmierzchu.

Na wprost łóżka, na popielatym murze z bali - obraz w kształcie medalionu, olej, niezbyt duży, miniatura święta w dwóch kolorach - pewnym i niepewnym.

-Piękno broni resztek snu przed ostatecznym z rzeczywistością s p o t k a n i e m. Gdzie jestem? - krzyknęło strwożone serce - W szpitalu? U matki?...Jeszcze nie teraz, nie teraz wylewaj myśli, głowo pęknięta!

Z grymasem na twarzy poderwał ciało ku oknu. Widok zachwycił i oddalił wszelkie niebezpieczeństwo.

- Swoboda, jakiej doznajesz w górskim pejzażu nie da się równać z niczym co znasz, całe twe życie jeden granitowy szlif na niebie przekreśla, Antropos.

- Jesteś katolikiem?

Zadała to pytanie ze śmiechem, aż zanadto głośnym jak na skupienie w pracowitym świecie mrówek i robaków. Ciągle się tu śmieli.

- Prawdziwe laboratorium, - I patrzył jak wątlym pędzlem obmalowywała skrzydła much okalonych ważkami.

- Nazywam go "Antropocentryczny Ugór Boscha". Przedstawia jego sen w obrazie pięciu tysięcy much okalonych ważkami. Nie wiem czy to się komu przysłuży, ale uwielbiam malować, to mnie uspokaja. Pytam czy jesteś katolikiem? Nie, bardziej anorektykiem! Tak, z pewnością to pomyłka. Nie należysz do żadnego kościoła ...

- To kim jestem?

- Jesteś żywym śmiertelnym ciałem. O, nie martw się tym! Prawdziwie wieczna jest tylko...

- Sztuka? Chcesz mi pokazać swoje obrazy? Okrągłe jak talerze do zupy emblematy naiwne tego miejsca, tego płotu, tych waszych baranów...!

- ...Okrągłe jak talerze...? - zawiesiła głos ważąc z przykrością co zostało tak dobitnie powiedziane. Stali jeszcze przez chwilę, w ramach pewnej swobody, znajomości z poprzedniej nocy, ślizgali się po słowach, po kolorach dalej i dalej, oboje znawcy tematu połknięci.

- L i t e r a t u r a. Ta jako coś lepszego czy dorasta jednak do potęgi c h w i l i

r z e c z y w i s t e j?! Co mogłoby ujawnić niskie ciśnienie...? - ujął swobodnie i stery myśli, gdy Ćma odeszła, - Gęsty pułap zacumowanych w sferze chmur? Opady mżawki? Marznące grudy lodu, prawie grad, mówią też gołoledź? To wszystko jest nam dzisiaj darowane. Znajdujesz w c h w i l i t e j tyle radości, na ile zasługuje życie tak doskonale pozbawione sensu jak to twoje!

- Pssst, pssst, - usłyszał nagle za plecami falsetem najpierw, potem d u s z k a n t e m wołającego Człowieka. Odwrócił głowę i na moment zatrzymał haust powietrza, zobaczył twarz toporną, ciosaną prawie chirurgicznym nożem, szereg blizn nie pozwalało dostrzec jej pierwotnych rysów, lecz ten, który ją stworzył, sprawił, że barbarzyństwo lub nieszczęście przepadło w śladach na nowo struganego piękna.

- Taak? Czy to mnie wołacie?

- Myślałek zeście ksiondz...

- Skąd tu ksiądz?
- Godou jeden, ze Augustyn ze Sztokholmu psyjehou.
- Ach, Augustyn. Jeślibym go zobaczył mogę coś przekazać...
- Nicoś. Nicoś. - Człowiek drobnym krokiem oddalił się w głąb kamienistego ogrodu. I pozwolił mu odejść, przepadło w kolumnadzie świerków ciało małe. Zaciągnął nosem zdrowo powietrze górskie, sanatorium dla zmęczonej duszy - czas iść na spacer, pusta głowo!

" Zbierało się już dobrze na południe, gdy zamiast zawrócić odnalazła strumień, którym zaraz poszła. Drobnymi susami stóp klaszczących o kamienie przywitał ją sto metrów wyżej chłopiec, na oko sześćioletni, biegnący za wodą. Zdawałoby się jakby zaraz ześlizgnąć się miał do strumienia.

- Uważaj, - chciała krzyknąć nie słysząc słów jego piosenki: "...nie spad nę nie spad nę nie spad nę...."

Zatrzymali się oboje w pół drogi. Chłopiec skoczył z głazów na korzenie, a po chwili gdy już zakotłosał każdym mięśnieniem jak żrebaczek, w dalszą drogę pędem rzucił się na oślep.

*Piękne? Skąd o tym wiem?
Czekałem na nią z każdą myślą bardziej,
lecz nasz czas oddała leśnym ptakom.
Zamknąłem oczy więc,
zmorzył mnie sen
I wszystko czego oko nie widziało
zostało z niego starte...*

Teraz, aby ratować nowy dzień sięgnąłem do stalowej półki ochraniającej wywietrzniki klimatyzacji po długopis, który tkwił tam od wielu miesięcy. Zapiski te na kolorowych papierkach origami, jest chyba druga po południu, sądząc z odgłosów. Pozwoliłem sobie na wywózkę siebie, coś w rodzaju kremacji, niebytu, choć do dziś nie porzucam nadziei I wiary w to co z mym ciałem zdarzyć się może, zdarzyć się powinno. Nad wyraz piękny nieboskłon Norwegii, widzę go jako litografię; konfiguracje zmienne chmur I oczy Elke to nawigacja moja cała. Gdy stoi tak w strapieniu od miesięcy, nie mogę ruszyć ręką ani nogą.

- Dobrze, że nie znasz norweskiego, - mówi na przykład po norwesku Elke, - przyroda, architektura, piękno ludzkich skupisk, to wszystko przemawia do twej wyobraźni jedynie zewnętrznym obrazem, pozbawionym osobistych intencji łącznika, którym jestem ja. Ach! Gdybyś rozumiał co do ciebie mówię! Moje zwykłe życie wypląszyłoby cię stąd jeszcze przed świtem!

Albo: - Zobaczysz, caro mio, urodzę ci synka, który będzie taki jak ja I córkę, która będzie podobna do ciebie. Wtedy odejdziesz!

Utrzymuję Elke w przekonaniu, że wciąż nic nie rozumiem, bo język c h w i l i wydaje mi się bezużyteczny, a wręcz przywykłem z niego rezygnować, nie zaś by mieć ją. Odebrać mowę całemu światu - wyzwanie wielkie!

Elke staje na jednej nodze między plastrami terpentyny, drugą unosząc w górę jakby szukała w a r c h i t e k t u r z e tej oparcia (to nasze łóżko rozpacza lepiący zapach sarkofagu obłożonego obrazami). Oto co słyszę:

*- Jestem trzecią córką pierwszego malarza Skandynawii.
Nazywam się Sikkens I jak mój ojciec żyję z malowania. A na chleb nie mam.
Taka jest prawda.*

Myślę:

- ... nie jestem tym, za którego mnie podają, Elke, opowiedz innym, jak duszę twą delikatną I ciało liże ogieniek miłości, gdy do niego dorzucam. Czy to ci nie wystarcza? Kawalek szczęścia błogi za szczęścia obraz cały? Chciałbym zatrzymać łzy w twych oczach, lecz płyną jak wioślarze zwabieni pod wodospad. Piękna twarz, Anioł Listopadowy... Dług zaciągnięty w przyszłości zawczasu splacam oczom. To ja, to ja cię kocham."

Czekam. A gdy wyjmiesz z mego oka zaklęty Kamień Zgody w ostry cierń, który boli mnie I doskwiera sercu - wtedy - proszę, uśmiechnij się jak wprzód duszo błoga - artistiquement, conhelacion, thy truth - co jak przewodnik odbiera sygnał cały. To już, to już, to już.

- Zadowolony?

- Nie wiedziałem, że mnie poprowadzisz! O tak! Jesień zapala lampy. Trzeba wracać bezpiecznie do domu.

- Podziękuj Panu - Ten cię prowadzi, Ecce Agnus Dei!

- Gdzie Augustyn? - zapytał dobrze już koło południa przy śniadaniu. Gospodyni w zakłopotaniu, że wyjechał, z samego rana odjechał.

- Oh! Skąd ten pośpiech?

- Tych spraw się tak łatwo nie tłumaczy, - Ćma łzę wyciska.

- Co słyszysz! - krzyczy nagle gospodarz domu, milczący dotąd obywatel - w jakimże wy języku się tu pławicie, sobie się wystawiacie?! Co znaczy "skąd ten pośpiech"? A ty, żono moja, czemu płaczesz? Takiej cię dotąd nie widziałem!

- Zachowaj spokój, przyjacielu, bardziej to przypomina sen niż jawę, odkryłem w sobie gust do chwil przejrzystych, tak gładkich jak ona, która tu siedzi, jak ćma okryta płaszczem światła. W kobiecie widzę duszę, a nie ma to wspólnego nic z romanssem. Pozwólże bawić się po cichu "w grzeczność".

- Ty, tak przejrzysty I tak gładki czemu tu stoisz, gdy to mówisz, w pozie kelnera?

- Za długo jestem z wami, zima już idzie, czas uciekać.

Otworzył oczy. Blade zasłony światła rozpekły kryształ dobrej widoczności... szpital?

Istotnie był to szpital. Zjawia jak wielki pasażerski okręt pojawia się I znika. Sine siostry ogarnięte uczuciem utopii, żelazne reguły gry, zamknięte kurniki. I ogarnęła złość, że nie wietrzyli sali, a tu trzy dni, pięć, piętnaście... wydawałoby się, że to żarty. Ćma, zawsze sama, odwiedzała go na krótką chwilę tłumacząc coś, czego sam nie mógłby zrozumieć. Powtarzał po jej wyjściu: "zbladłem, na ziemię padłem, przy śniadaniu nagle, po stu dniach przytomność wróciła, ja nie wróciłem."

Twarde lodem, wiatrem otumanione skrzydła stalowej bramy, stukają niczym duchy bębniące na poddaszu, Czapków, dom matki płynnie leniwie, dom dzieciństwa.

- Zima bez śniegu przypomina pejzaż futurystyczny, mówi do sąsiadki z ceratowej kanapki, siedzą tu w dzień patrząc na targane niewidzialną siłą sztaby, wiatr to czy rokosz?

- Nikt nie przyjechał,- odpowiada w końcu tamta, zrezygnowana powłóczy nogami do I n k u b a t o r a. Tak to się nazywa - inkubator! Całe życie nasze.

*"Moja kochanka nie przychodzi
Dziś jutro zawsze czekał na nią
Palący ogień
Gdy poziomkami pachną dłonie
Z owoców słonych, z dna wulkanów
Z piersi odchodzi równo życie
Na trzy, na dwa, na raz"*

- Gdy leżę. Na widnokręgu wielorybów brzuchy - białe, zielone, niebieskie, z oczami egzotycznych owadów, mangaliowe kręgi patrzą mi prosto w twarz. Gdy leżę ogarniam wzrokiem niepełną kopułę tego tu nieba, a co poza nim jest mi obojętne.

Trzy zielone żaby o twarzach wesołych dworek, w aurze renesansu, co dobrze mnie nastraja, przecież chcę nie umrzeć, wesoło ruszają głowami. Mówię: "wy tu takie młode, takie ładne zielone żabki, co wy tu robicie?!"

"oho ho ho", przekrzykują się, szeleszczą pajęczynami spowite łebki, "już nie takie młode", I cap za rękę, łaps za nogę, wiążą pasami, zdobią kokardami, używają sobie wyśmienicie.

W chwili gdy się oddalam gwarnie jest I wesoło. Ile czasu jeszcze? Ile? Słyszę głos, który zdradza mnie, t o czym jestem - nie więcej niż myślą bez kończyn, tułowia I głowy. Czemu nie myślą o tobie, Malarzu? I nie myślą o Nich? I nie tautologią o Sobie?!

Jestem Zegarem.

M i n u t a .

Obraca myśl ten ostatni krążek w głowie, czas z minuty szybko ucieka... Matko Przenajświętsza, Boże, Jezu Ufam Tobie...!

- Otworzyłem oczy. Poczułem środek nocy, uczucie zawsze to samo, gdy czwarta godzina wybija do świtu czasu niewiele. Skrzypnięcie. Czy kot uchylił drzwi I skarży się po cichu czy ojciec ciężkie dłonie kładzie na głowie syna, z żalem usypia?

- Uciekaj z brzucha hospicjum, - usłyszałem słowo za słowem, - I zapamiętaj zimny dotyk prześcieradeł. Ostrożnie stąpaj po rzeczywistości.

- Ojczy, czy żyję?

- Jesteś p o ś r ó d żywych. Wracasz.

- W końcu cię wysłuchał, - oświadcza Ćma I podaje plastikowy worek z dobytkiem Człowieka ruchem tak uroczystym jakby coś więcej stać się miało niż z chirurgii wypis zasadniczej.

- T e r a z żyjesz n a p r a w d ę, - zapamiętał ostatnie słowa, - R e m e m b e r .

LAST PART

Tych spotkawszy ludzi I doświadczywszy wszystkich takich rzeczy wrócił pewnego dnia do siebie.

W drzwiach powitała go z dawna nie widziana twarz Tosi uśmiechniętej blizną zszyta wzdłuż pęknięcia.

- Mój pan! Dawno was tu nie widzieli !

- Skąd ta blizna, Tosiu?

- Wygląda jak łaza, widzicie? Kazek ze Sztokholmu nie wrócił. Mówiłam mu, żeby z tymi koniami nie jechał! Ale, co tam gadać... Mam jeszcze drugiego syna! Jest po co żyć!

- Kochasz mnie syna?

- Kocham szczerze!

I ogarnęła ich taką miłością przestrzeń, że czas, że strach, że dom, że wszystkie pojęcia zasadnicze uniosły się nad nimi popod kopułę nieba, dając głowom miejsca. I napisał ostatnie słowa swojej pierwszej książki:

"Piękni jeśli do pary. Jeśli Człowiek przeznaczeniem Człowieka, co tylko pomyśli, pomyśli pomiędzy dwiema krzyżującymi się w nieskończoności drogami.

Jedna z nich Dobra. Idź I módl się po prostu."